Nr. 24. Poznań, Niedziela, dnia 15-go Czerwca 1902 r. Rok VI.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Cesarskie słowa
w malborskim zamku.

„I znów doszło tak daleko, że polska buta chce ubliżyć niemieckości, i jestem zmuszony naród mój wezwać, ażeby stanął na straży swych narodowych dóbr. Tu, w Malborgu, wypowiadam oczekiwanie swoje, że wszyscy bracia zakonu św. Jana zawsze gotowi będą do służby, gdy ich powołam do obrony niemieckich zwyczajów i obyczajów“ — oto wypowiedziane przed kilku dniami, na uczcie w zamku malborskim słowa cesarza Wilhelma II, którego sprawiedliwości i pieczy ojcowskiej powierzyła Opatrzność losy nietylko *niemieckich*, lecz także *polskich* poddanych.

Zwrot ten w cesarskim toaście na cześć ks. Albrechta, mistrza zakonu Joanitów, z bardzo wielu względów zasługuje na uwagę. Największą jego osobliwością jest to, że nie zdarzyło się dotąd, iżby koronowany władzca nad krajem, zamieszkałym przez obywateli dwóch różnych narodowości, udzielał w mowie podniety jednej części poddanych przeciwko drugiej. Nigdy też władzcy dwóch innych zaborów dawniejszej Rzeczpospolitej Polskiej ani z dynastyi Romanowów, ani też z Habsburgów starożytnego rodu, w mowach swoich nie nawoływali współplemiennej sobie ludności przeciwko Polakom, a nie czynili tego zapewne w przedświadczeniu i na tej opierając się zasadzie, że zawsze lepiej dla ogółu poddanych i dla państwa, gdy różnonarodowe w niem żywioły w czasie pokojowym same między sobą układają i ustalają sobie wzajemne stosunki.

Ale z innego jeszcze względu mowę cesarza w dawniejszym krzyżackim grodzie uważać należy za osobliwość. W murach malborskiego zamku rozbrzmiewały wprawdzie niegdyś wojownicze pobudki, ale pobudki te były zwrócone przeciwko narodom zbrojnym, politycznie niezawisłym, potędze krzyżackiej mniej lub więcej groźnym. A jakkolwiek sąd dziejowy zarzuca słusznie krzyżactwu obłudę, zdradzieckość i hypokryzyę, to jednak wojownicze zamysły, czy to przeciwko Litwinom, czy przeciwko potężnej wówczas Polsce skierowane, miały charakter rycerski. Dziś stosunki odmienne. Dziś, gdy w tych samych murach zamkowych cesarz niemieckiego państwa wydaje hasło naprzeciw polskości, mimowoli nasuwa się pytanie, w jakim stosunku znajduje się owa „zuchwała“ siła polska do siły narodu niemieckiego, mającego podjąć rycerską rozprawę w „obronie swych narodowych dóbr?“ Oto widzimy po jednej stronie 50 milionów Niemców z armią milionową, od stóp do głów zbrojną, z tysiącami armat i milionami karabinów, widzimy po tej samej stronie drugą armią urzędników najróżniejszej kategoryi, a nadto setki milionów płynące Niemcom dla ekonomicznej przewagi; po drugiej stronie widzimy trzy i pół miliona Polaków, bezbronnych, bez armii i bez oręża, bez własnego rządu, bez urzędników, bez wszelkiego fizycznego i pieniężnego poparcia, zawojowanych na ojczystej ziemi i upośledzanych wyjątkowemi prawami. Miłość ojczystej ziemi, przesiąkłej krwią i potem przodków, miłość ojczystego języka i ojczystych obyczajów, przywiązanie do narodu i do praojców wiary są jedynym, prawnie dozwolonym przecież, a szlachetnym podług ludzkich pojęć orężem — po tej właśnie stronie. Wobec takiej sytuacyi trudno wytłomaczyć sobie, dlaczego monarcha wplótł w tok swego przemówienia wezwanie, ażeby 50 milionów zbrojnych, niepodległych i materyalnie silnych Niemców wystąpiło w obronie swych dóbr narodowych przeciwko trzem milionom bezbronnych, podbitych, osłabionych materyalnie Polaków. A tym trudniej przeniknąć myśli monarchy, że słowa jego skierowane były do kawalerów tego samego zakonu Joanitów, którego rycerstwo niegdyś miało za zadanie właśnie nieść ulgę słabym i potrzebującym pomocy, osłaniać chrześciaństwo przed pogaństwem w imię miłości bliźniego, spełniać zacne uczynki miło-

sierdzia podług szczytnego wzoru Zbawiciela.

Gdyby pobudka cesarza dla niemieckiego narodu nie odnosiła się do rozbrojonych zupełnie Polaków, ale do jakiegoś potężnego siłą militarną i polityczną narodu, tak np. do Rosyan, byłaby bardziej *z rycerskiego* stanowiska zrozumiałą; ale wobec Polaków roznamiętnieni antypolską polityką Niemcy takie mają poczucie siły, taką pewność poparcia ze strony rządu a w danym razie też ze strony olbrzymiej armii, tak dobrze czują naszą bezbronność, — że specyalnej zachęty, podniety i odwagi do stawienia nam czoła dodawać im nie potrzeba.

W żadnym zaś razie obywatele niemieccy nie zdobędą sobie, tak jak zakon Joanitów, chwały rycerskiej i nie zasłużą sobie w historyi ludzkości na bohaterów imię, gdy czując za sobą rząd, i armią milionową, przybierać będą dalej heroiczną pozę wobec Polaków, zwalczanych podczas pokoju na arenie cichej, bezorężnej, narodowej pracy. Nie będzie nigdy chwałą dla niemieckiego plemienia, że żąda od Polaków, ażeby porzucili ideały narodowe, zaparli się swej narodowej istoty, a więc znieprawili się jako naród, jako ludzie.

Nie wolno nam przypuszczać, iżby monarcha niemiecki miał pragnąć tak smutnej chwały dla swego narodu. Ale dlatego właśnie niezrozumiałym jest zwrot o „zuchwałości polskiej", za którą przecież usiłowania samozachowawcze, jako to: obrona języka i odrębności narodowej, poczytanemi być nie mogą.

Ale monarcha, wzywając Niemców i rycerzy joanickich do walki przeciwko bezbronnym Polakom, miał może na myśli nasze usposobienie wewnętrzne, pełne wstrętu i odrazy do przykrego antypolskiego systematu, z całym tegoż arsenałem wyjątkowych praw. A że fizycznej siły, w którejby się objawić mogła nasza buta lub zuchwałość niemamy, więc chodziłoby o pokonanie chyba tylko naszego ducha narodowego, który się trzyma w sercach polskich jakby w niezdobytej twierdzy.

Jeśli monarcha, przemawiając w zamku malborskim, miał istotnie złamanie tego ducha na myśli, to sądzimy, że walka przeciwko tej naszej jedynej sile będzie bezowocną.

Cesarz Wilhelm ma władzę korony porówno nad poddanymi polskiej jak niemieckiej narodowości, ma znaczną część władzy nad naszym losem w zaborze pruskim, ma poniekąd władzę nad tem, co stanowi *zewnętrzną* stronę naszej istoty. Do panowania nad naszą *wewnętrzną*, duchową stroną, nad naszą narodową duszą, władza jego nie sięga. *Możnaby — w pewnem zrozumieniu podbić tę naszą część wewnętrzną duchową, ale przemówienia tej treści co pierwsza z dwóch mów malborskich, podboju naszego ducha, czyli zjednania serc poddanych polskich dokazać nie zdolne.*

Byłoby to możliwem wtedy, gdyby się w traktowaniu polskich obywateli pod berłem pruskiem urzeczywistniły następujące słowa monarchy, zawarte w drugim jego toaście:

„Tendencye zakonu pozostały te same: *wielkie, pełne blasku przykazanie, nadane* **ludzkości** *przez Zbawiciela, to wspaniałe prawo bratniej* **miłości** *jednoczy zakony, jakiegokolwiek są wyznania, w tym wzniosłym celu, ażeby* **nieść pomoc cierpiącej ludzkości,** *gdziekolwiek się da, i ażeby działać dla dokonania dzieła zbawienia ludzkości podług* **Chrystusa** *wzoru*".

Do tej „cierpiącej ludzkości" należą w monarchii pruskiej przedewszystkiem Polacy, cierpią nie tylko materyalnie, — ale duchowo, moralnie. Jeżeli więc zakony, o których mowa, dążą istotnie do wzniosłego celu kojenia bólu i łagodzenia cierpień, to względem Polaków w zaborze pruskim mają świetne pole do popisu. Rzadko które społeczeństwo pragnie tak gorąco, jak właśnie polskie, ażeby powyższe słowa monarchy zamieniły się w czyn, ażeby idea miłości bratniej i miłości bliźniego doczekała się wreszcie należytego poszanowania, ażeby wzniosły wzór Zbawiciela znalazł jak najwierniejszych naśladowców wśród tych osobliwie, w których ręku spoczywa władza nad ludami. Za władzcami, pójdą możni, za możnymi narody — a wtedy zbliży się chwila zbawienia dla ludzkości, a w niej i dla polskiego narodu.

Silni zaś wiarą, że idea Chrystusowa, rychlej czy później zwyciężyć musi, nie zadrzymy zapewne, i wtedy, gdy naród niemiecki pierwszą z dwóch mów malborskich pojmie jako pobudkę dla siebie do ostrzejszej przeciwko nam walki, tak niezgodnej z ideą Chrystusową i przykazaniem miłości bliźniego.

Vester.

Uroczystość w Malborgu.

W tym samym czasie, gdy sejm uchwalał nowych 250 milionów marek na zniszczenie ekonomiczne Polaków, obchodzono w Malborgu, który przez lat trzysta przeszło był głównem miastem polskiego województwa, uroczystość odnowienia tamtejszego zamku krzyżackiego. W związku z uroczystością tą odbyło się w obecności cesarza Wilhelma, kanclerza rzeszy niemieckiej, Bülowa, oraz członków rządu i delegacyi różnych państw, wielkie uroczyste zebranie „zakonu Johanitów", z którego wyłonił się niegdyś t. zw. „zakon niemiecki, krzyżacki." Podczas uczty cesarz Wilhelm wygłosił mowę, która zwróciła na siebie powszechną uwagę, przez zawarte w niej wezwanie do walki z Polakami.

Po kilku uwagach wstępnych, dotyczących zaproszenia na uroczystość, cesarz wspomniał o tem, że założono zakon niemiecki, aby w łączności z zakonami Johanitów i Templaryuszów odzyskać grób Zbawiciela dla ludów chrześciańskich. „Ale nadzieja ta nie ziściła się, bo niebawem po założeniu zakonu niemieckiego trzeba było uważać Ziemię świętą za straconą na zawsze dla chrześciaństwa zachodniego. Zapewne wtedy niejeden z członków zakonu westchnął boleśnie i niejeden Niemiec powiedział sobie: „Co teraz będzie z nami. Jaki cel teraz stawimy sobie?" Ale mniemam, że w tem właśnie trzeba widzieć palec Opatrzności. Nie na obcej ziemi, gdzie Europejczycy nie są u siebie i gdzie krzyż nie utrwalił się jeszcze, lecz w domu, u granic państwa,

Opatrzność stawiła zadanie zakonowi. Jak zakon je spełnił, to wymowniejsze od moich usta (pastora Dryandra. Red.) wypowiedziały wspaniałemi słowy w kościele.

„Wzniosły i wielki we wszystkich swoich pracach, we wszystkich swoich planach, zarówno pod względem politycznym, jak i w wyprawach wojennych i budowach, zakon wyobraża niejako szczyt tego, co człowiek zdziałać potrafi, i przez cały czas wieków średnich, kiedy potęga cesarza i rzeszy przekwitły i zanikły, naród niemiecki cieszył się z pracy tych braci i synów swego plemienia i budował się dziełami zakonu.

„Już raz w tym oto zamku miałem sposobność zaznaczyć, że ten stary Malborg, ta stara warownia na Wschodzie, punkt wyjścia dla kultury krajów położonych ku Wschodowi od Wisły, ma pozostać także w przyszłości na zawsze symbolem zadań niemieckich. Obecnie znowu doszło do tego, że buta polska chce ubliżyć niemczyźnie, i jestem zmuszony zawezwać mój lud do obrony swych dóbr narodowych. I tu w Malborgu wyrażam oczekiwanie, że wszyscy bracia zakonu św. Jana stawią się zawsze, gdy ich powołam do obrony niemieckiego zwyczaju i kultury, i w tem pragnieniu i w tej nadziei wznoszę puhar za zdrowie najszlachetniejszego Mistrza i Zakonu św. Jana."

Mówę cesarza przyjęto z zapałem.

Nadmienić należy, że zakon Joanitów od samego początku nie był i dotąd nie jest specyalnie pruski lub niemiecki. Nie tylko poddani cesarza Wilhelma II, lecz także Austryacy i pojedyńczy członkowie innych narodów należą do tego zakonu, który niegdyś bronił *idei chrześcijaństwa* przed naporem pogaństwa, a który teraz podług pragnienia monarchy pruskiego stanąć ma naprzeciw chrześcijanom polskiej narodowości, nie mającym z poganami nic wspólnego i wołającym właśnie w imię tejże samej idei chrześcijańskiej o równouprawnienie obywatelskie i sprawiedliwość. Do gości obcego poddaństwa zwrócił się cesarz w drugiej mowie, w której wskazał na wzniosłe pokojowe zadania zakonu, *uwydatniając* szczególnie *„wielkie, wspaniałe przykazanie* ***bratniej miłości*** *bez względu na wyznanie,"* i uwydatniając też podniosłe zadanie *niesienia pomocy cierpiącej ludzkości,* a tem samem popierania dzieła *zbawienia ludzkości za wzorem Chrystusa."* Zwracając się do delegatów austryackich, zakończył monarcha wezwaniem do wspólnej walki w obronie niemieckości: „Jak dziś w starym kościele Panny Maryi (obecnie naturalnie protestanckim) kolana nasze ugięły się wspólnie przed tym Najwyższym, pod którego osłoną znajdujemy się wszyscy, tak niech rozkwita wspólna praca zakonu, czy to na polu bojowem, czy to w lazaretach, czy to w dziedzinie utrzymywania niemieckiego zwyczaju i kultury i obrony wszystkiego tego, co jest niemieckie po tej i tamtej stronie granicy." Reprezentant Austryi, gen. konnicy bar. Berchtolsheim, w swej odpowiedzi unikał widocznie aluzyi do polityki antypolskiej i mówił wyraźnie o zadaniach pokojowych zakonu, ale zakończył ostatecznie podziękowaniem za starania o utrzymanie zamku Malborskiego, „tego symbolu gniazda i tej twierdzy wierności niemieckiej."

Nie wierzymy pogłosce, jakoby w uroczystościach tych wziął także udział znany artysta polski, p. Wojciech Kossak, jako nadworny malarz cesarza Wilhelma i że ma podobno uwiecznić na płótnie tę scenę, w której cesarz Wilhelm, wielki mistrz zakonu Joanitów, wzywał wszystkich Niemców, „po tej i tamtej stronie granicy" do „obrony" przeciwko ludności polskiej.

Niektóre pisma już też zaprzeczają tej wieści, a nie zaprzeczają tylko temu, że Kossak mimo wszelkich objawów nieprzyjaznych Polakom pozostanie jednak przy swych funkcyach w Berlinie.

Prawdzic.

Dla biednych dzieci!

Gdy przed kilkunastu laty z inicyatywy dzisiejszego współdyrektora Spółki parcelacyjnej, pana Kużaja, ś. p. Fr. Dobrowolski zajął się energicznie organizacyą kolonii feryjnych — wtedy dużo, bardzo dużo objawiło się w społeczeństwie naszem życzliwości dla ubogiej dziatwy naszej. Za pierwszą zaraz pobudką zgłosiło się wielu właścicieli większych i mniejszych włości z gotowością przyjęcia na czas wakacyjny malców, potrzebujących pokrzepienia na świeżem, zdrowem powietrzu.

Z biegiem czasu — jak zwykle u nas — zapały ostygły, a nastało pewne zobojętnienie, oziębłość prawie. A dziś aż przykro czytać w łamach dzienników, że dotąd ofiarowano na czas wielkich wakacyi miejsc zaledwie *11*, zgłosiło się zaś chłopców i dziewcząt już *560*!

O znaczeniu pokrzepienia dzieci na wsi pisano już tak dużo, że rozwodzić się nad tą potrzebą cielesną zapewne nie potrzeba. Ale nie tylko wzgląd na zdrowie fizyczne naszego społeczeństwa domaga się udzielania gościny na wsi naszym maleństwom, nie tylko miłosierdzie, z chrześcijańskich prawd wynikające, zaleca dobroczynność taką dla wątłych i słabych, lecz także wzgląd na pogarszające się coraz dla młodego pokolenia naszego stosunki szkolne nakazują nam większą nad niem pieczę.

Wszakże od rządu nie możemy się spodziewać takiej dobroczynności dla dzieci polskich podczas feryi lipcowych, którąby nie wzbudzała w nas troski o ich narodowość. O! Niemcy gościnę na wsi dla naszych dzieci wyjednają chętnie, ale taką, za którą podziękować trzeba w interesie narodowości i wiary. Wiemy to wszyscy bardzo dobrze, wiedzą też nasi obywatele ziemscy i włościanie, więc też każdy w miarę możności powinien przyczyniać się do tego, ażebyśmy przynajmniej podczas wakacyi zastąpić mogli ową niemiecką „pieczołowitość."

Jesteśmy w tak wyjątkowem położeniu, że tylko wyjątkowem poświęceniem i wyjątkową ofiarnością bronić się możemy. A jeśli kto potrzebuje ciepła uczuć bratnich, to właśnie młode latorośle nasze. Prawda, że niedobre zachowanie się gawiedzi, niesforność i psotność, niejednego z dobrodziejów zrazić mogła do przyjmowania małych kolonistów feryjnych, ale czyż dla uchybień jednostek wolno nam odsuwać się zupełnie od dobroczynności takiej? Czy nie warto zapomnieć o drobnych nieprzyjemnościach i ambarasach, a przygarniać jak najwięcej do siebie tej dziatwy wątłej, która dziś nie tylko powietrza świeżego w ogóle, ale *powietrza polskiego* spragniona?

Patrząc na cyfrę 11 miejsc wolnych, a liczbę 560 dzieci zgłoszonych, trudno stłumić w sobie uczucie żalu. Zaledwie słońce

lipcowe grzać poczyna, już wielu panom i paniom naszym duszno w atmosferze polskiej i już setkami i tysiącami mkną za polską miedzę. A są setki dziatwy, co właśnie łakną tej wzgardzonej świeżej, polskiej atmosfery.

Pomyślmy nad temi objawami sprzecznemi, na korzyść *biednej dziatwy polskiej!*

Pretwicz.

Koło polskie
w obec słów cesarza,

wyrzeczonych w zamku malborskim wypowiedziało zapatrywanie swoje przez posła Głębockiego na piątkowem posiedzeniu parlamentu niemieckiego. W toku rozpraw nad zniesieniem wyjątkowego prawa w Alzacyi i Lotaryngii, znanego pod nazwą paragrafu dyktatury, poseł Głębocki wyraził nasamprzód w imieniu Polaków zadowolenie swoje z powodu wyzwolenia mieszkańców tychże dzielnic z pod gniotącego brzemienia wrogiej ustawy, a następnie przeciwstawiając ten akt pokojowy na zachodzie cesarstwa, pobudkom wrogim rozbrzmiewającym na wschodzie, przeciwko Polakom, rzekł dosłownie:

Czuję się zobowiązanym zwrócić uwagę na to, iż, gdy tutaj dokonuje się, a przynajmniej poczyna piękne dzieło pokoju, z innego kierowniczego miejsca odezwało się donośne wezwanie, żeby naród niemiecki przeciw polskim mieszkańcom rzeszy wystąpił do walki. Jest to, sądzę, ostry rozdźwięk, zakłócający rażąco dzisiejszą pokojową melodyę reprezentacyi narodu niemieckiego. Chyba nigdzie jeszcze nie zaszedł taki dysonans, iżby w takiej chwili przeciwko milionowej, spokojnej ludności z wysokiego miejsca wzywano do walki.

Odnosi się ztąd wrażenie, iż ludności polskiej, jakby zagranicznemu wrogowi, jakby narodowi, wcale do rzeszy nie należącemu, wojnę wytoczyć miano.

Jest to smutną i zgubną rzeczą, gdy w czasie, w którym każdy prawie dzień przyczynia się do tego, że w polskich dzielnicach pochodnia pokoju i zgody nie może zapłonąć, i że w czasie, w którym bez naszej przyczyny gromadzi się nadmiar materyału palnego, zwiększającego niezgodę w owych ziemiach, rozbrzmiewa jeszcze **takie hasło walki ztamtąd, gdzie jest obowiązek głosić tylko słowa ojcowskiej życzliwości i nawoływać do zgody i sprawiedliwego pokoju.**

Wprawdzie jako przedmiot walki wymienia się rzekomą *polską zuchwałość.*

Ale w czemże szukać owej tak zwanej polskiej zuchwałości? *Jest ona chyba w tem tylko, że ludność polska, mieszkająca w granicach rzeszy niemieckiej z uprawnioną wytrwałością i energią broni swej narodowości, swego języka, że chce pielęgnować swój obyczaj, tradycyą swoją i ducha narodowego jako najwyższe dobra, że chce, żeby dzieciom zaszczepiano religią w języku ojczystym. Oto owa zuchwałość polska, przeciw której wzywa się do walki.*

(Głosy: bardzo dobrze!)

M. p., gorąco popieramy niniejszy projekt i to dlatego, że jest wyrazem uprawnionych życzeń ludności w Alzacyi i Lotaryngii i ponieważ on zarazem wyraża wolę większości tej wysokiej izby, która dawniej już dwa razy odnośny wniosek przyjęła.

W ścisłym związku z tem, chciałbym jeszcze na zakończenie przypomnieć słowa, które dzisiaj wypowiedział poseł Bebel. Powiedział on słusznie: dobro narodu nie zależy dziś od życzliwości danego monarchy. Te słowa uzupełniłbym jeszcze zdaniem, które zawiera to, co my Polacy pragniemy w obecnej chwili uroczyście zaznaczyć:

Losy i przyszłość polskiego narodu nie są także zależne od nieżyczliwości i niechęci (Uebelwollen und Missgunst) *danego monarchy, narody nie znikają na rozkaz królów!*

Projekt rządu argentyńskiego
tyczący się kolonizacyi Słowian.

W Ameryce południowej, w klimacie umiarkowanym, jedną z największych Rzeczypospolitych jest Argentyna, która swą rozległością dorównywa prawie połowie Europy. Ma ona jednakowoż zaledwie około 5 milionów mieszkańców, a że kraj ma bogate zasoby, przeto olbrzymio wiele jeszcze znajduje się tam miejsca odpowiedniego do kolonizacyi.

Z autentycznego źródła podają dzienniki amerykańskie wiadomość, którą zupełnie za urzędową uważać można, że obecny rząd argentyński postanowił rozdać w jednej z najkorzystniejszych dla uprawy okolic, dwa miliony akrów do osiedlenia wyłącznie dla Słowian, a w pierwszej linii dla *Polaków, Czechów i Słowaków.*

Dzieje się to głównie dlatego, że w ostatnich latach Niemcy zwrócili swą uwagę na kraj ten i emigracyą swoją do niego skierowują, — a nie stanowią oni bynajmniej pożądanego żywiołu dla tamtejszej ludności i rządu. Niemcy nie przybywają zazwyczaj do obcych krajów w tym celu, by stać się ich obywatelami pożytecznymi i dla rządu tych krajów przychylnymi, tylko w celu przekonania się, czy kraje te nie nadadzą się do germanizowania lub utworzenia z nich kolonii niemieckich. Podobać się to żadnej ludności krajowej nie może, tylko przeciwnie, budzi w niej nieufność i obawę.

Ażeby przeto przeciwstawić temu napływowi niebezpiecznych kolonistów niemieckich żywioł inny, zdrowy, jędrny, przejęty zasadami wolności i do rolnictwa szczególniej uzdolniony, rząd pragnie zachęcić Słowian szukających przytułku w obcych krajach, ażeby osiedlali się w Argentynie, i to w pierwszej linii Polaków, Czechów i Słowaków, a zwłaszcza takich, którzy mieszkają od czasu niejakiego w Stanach Zjednoczonych i przejęli się zasadami republikańskiemi. W tym celu zamierza rozdać dwa miliony akrów osadnikom słowiańskim.

Ażeby projekt ten zyskał poparcie, i ażeby udowodnić, że na poparcie zasługuje, rząd argentyński zaprosił reprezentantów pewnych czasopism polskich, czeskich i słowackich — po jednym z każdej narodowości — by przybyli do Argentyny i zbadali tamtejsze stosunki, o ile nadają się do kolonizacyi dla ich ziomków.

Otóż w tych dniach zaproszeni, pomiędzy którymi znajduje się reprezentant i specyalny sprawozdawca „Dziennika Chicagoskiego“, wybiorą się w drogę do Argentyny. Po powrocie złożą sprawozdanie zupełnie bezstronne z tego, co widzieli, i do jakiego przyszli przekonania i stosownie do wyrobionego na miejscu swego zdania, albo do wybierania się w tamte strony będą zachęcali, albo od niego będą odradzali, jak najsumienniej przedstawiając stosunki miejscowe.

O wyniku usiłowań rządu argentyńskiego, mogących mieć poważne znaczenie dla Słowian a szczególnie Polaków w Ameryce, podamy w swoim czasie odpowiednie wiadomości. Nie mniej zapewne interesować nas muszą szczegóły, dotyczące tegoż kraju, jako to jego geograficzne położenie, jego przymioty naturalne, jego roślinność i świat zwierzęcy, klimat, ludność, polityczne stosunki itd. Z tem wszystkiem nie omieszkamy zapoznać naszych Czytelników.

—ski.

Dr. Hans Paalzow
a język polski w Prusach.

Znów się pojawił mędrzec dla ogłupienia opinii niemieckiej. Jest nim kustosz biblioteki królewskiej w Berlinie dr. iur. Hans Paalzow.

Mąż ten, praw wszelakich i wszelakiej sprawiedliwości (pruskiej osobliwie) świadom, wystąpił z broszurą o 84 stronach przeciwko prof. Zornowi z Bonn, którego p. Bülow wziął do pomocy, ażeby usposobić inaczej trybunał berliński w obec skarg Polaków na rozwięzywanie zebrań z powodu obrad w języku ojczystym.

P. Paalzow w krętackiej swej pracy dowodzi, że *nie można bez naruszenia konstytucyi rozwięzywać zebrań polskich*, że więc prof. Zorn nie ma racyi. Ale bez zmiany konstytucyi można „w objaśnieniu“ prawa z d. 11 marca 1850 r. o stowarzyszeniach zamieścić „dodatek, że językiem obrad na zebraniach ma być wyłącznie niemiecki.“

Gdy się rada p. Paalzowa spełni, to naturalnie dla Prusaków będzie „wilk syty i koza cała“ — a o to przecież chodzi.

Podobnie radzi też p. Paalzow, ażeby „bez naruszenia konstytucyi“ główny zarząd poczty wydał rozporządzenie, że od tego a tego dnia przesyłki, adresowane w innym niźli niemieckim języku, nie będą ekspedyowane.

Tak oto skrupulatnie broni p. Paalzow konstytucyi.

Jakie to krzyżackie!

Ordon.

Z TYGODNIA.

Na samym froncie politycznych wypadków ostatniego tygodnia widzimy uroczystość malborską z powodu mów tam wygłoszonych.

Niektóre dzienniki nie bez słuszności uwydatniły fakt, że doniosłość mowy wychodzi po za ramy sprawy polskiej w zaborze pruskim i nawet po za ramy kwestyi polskiej w ogóle. Wolno to było wnioskować z tego brzmienia mów, jakie rozniosły po świecie urzędowe telegramy po dokonanej przez kanclerza Bülowa cenzurze, który po swych zajęczo-króliczych wynurzeniach, również pospieszył do malborskiego zamku. Ale podobno mowa cesarza miała w rzeczywistości inne brzmienie. Nie „polska zuchwałość“ była przedmiotem ostrej apostrofy monarchy, lecz *„polska bezczelność i zuchwała pretensyonalność sarmacka“* (*„polnische Frechheit und sarmatische Anmassung“*).

W takiem brzmieniu mowa cesarza nabiera o wiele większego znaczenia. Dowodziłaby, iż monarcha sięgnął het po za granice swego państwa, że nie tylko miał na myśli polskich poddanych zaboru pruskiego i nie tylko Polaków w ogóle, lecz całą Słowiańszczyznę, jako niebezpieczną niemieckości.

Że na tle prusko-polskich stosunków zarysowuje się w coraz wyraźniejszych konturach walka szerszego znaczenia — walka przeciwko szczepowi słowiańskiemu, nad tem długo rozwodzić się nie potrzeba. Nie tylko my, bezpośrednio w wir tej walki wciągnieni, przeczuwamy to dobrze i uświadamiamy sobie, lecz co ważniejsze, spostrzegać to poczynają wreszcie i ci Słowianie, którzy przez długi czas obojętnem przyglądali się okiem naporowi giermańskiemu ku wschodowi, a nawet — z ubolewaniem to zaznaczyć trzeba — podawali do tego procesu występnie rękę pomocną.

I dziś, co prawda, zbyt mało wśród Słowiańszczyzny oznak bratniej łączności, ażeby z otuchą patrzeć można w przyszłość i wierzyć, że zapędy zaborcze Niemców dalej się nie posuną. Ale na pytanie, czy lepiej dziś, zgodniej i przyjaźniej w świecie słowiańskim, czy jest w nim rozpoznanie jasne niebezpieczeństwa, dać już można odpowiedź potwierdzającą. Bo walka prusko-polska — jak zauważa warszawski „Kuryer Codzienny“ — „to bój wiekowy przednich straży germanizmu ze Słowiańszczyzną. Świadomość tego stanu jest już dość powszechną, aby się uwydatnić nie miała, a w jakiej postaci, to sprawa drugorzędna.

„O treść tu idzie, nie o formę, a treścią jest jedność wszystkich zagrożonych, bo dla wszystkich Słowian świeża odezwa malborska posiada epokowe znaczenie, które cała Słowiańszczyzna zrozumieć powinna: Od nizin Wisły idzie w dal ku niej głos ostrzeżenia: baczność, z „Maryenburskiej wieży zadzwoniono!“

Jednocześnie prawie z uderzeniem tego „dzwonu w Maryenburskiej wieży“ zapadła po drugiem czytaniu uchwała w sejmie nad 250 milionami na nasze zgnębienie. Naprzeciw wywodom ministrów, coraz otwarciej wyrażających żądzę zwalczania narodowości polskiej, i naprzeciw przewrotnym krętactwom posłów typu polakożerczego, trudno naturalnie stanąć ze spokojem i powściągnąć słuszne oburzenie.

Tem się tłómaczy ostry ton w mowach posłów naszych pp. Czarlińskiego i Głębockiego, wypowiedzianych przeciwko projektowi 250 milionowemu dnia 5 czerwca.

Poseł Czarliński nie zapomniał przy tej sposobności o głośnem przyrównaniu nas do królików, nazywając je „cynicznem“, a powołany za to wyrażenie do porządku prawił ku końcowi tak:

„Kanclerz chce bronić narodowej jedności Niemców przeciw rzekomo nadmiernemu mnożeniu się Polaków, ale nie inaczej, jak przez wytępienie polskiego szczepu ludowego w jego przyrodzonym, z woli Bożej pochodzącym rozwoju. To byłoby przecież szalonem przedsięwzięciem, podkopującem podstawy ekonomii ludowej i moralności.

„M. P. Jeżeli się to orzeczenie zestawi z przedłożonym projektem, wtenczas musi się szerzyć coraz bardziej przekonanie, że *inicyatorowie tej ustawy stracili ostatki poczucia wstydu.*“

Wśród wołania „fe“ po stronie popleczników antypolskiego systemu, a okrzyków „brawo“ po stronie Polaków powołano wprawdzie naszego mówcę po raz drugi do porządku, ale niemiły Prusakom wyraz oburzenia już był wypowiedziany.

I w mowie posła Głębockiego nie zabrakło zwrotów ostrych. Wykazawszy całą obłudę w uzasadnieniu ustaw wyjątkowych w ogóle a nowego antypolskiego projektu w szczególe, stwierdził mówca, powołując się na znane wyrzeczenie hr. Bülowa, iż właśnie to, co z praw natury wynika tj. naszą plenność większą od niemieckiej usiłuje rząd zwalczać ustawami wrogiemi.“ „Przez enuncyacyą kanclerza o „zającach i królikach“ — tak mówił poseł Głębocki — „utorowała sobie prawda drogę w chwili, gdy się czyni największe starania, aby ją zaćmić. Lecz wiemy bardzo dobrze, iż nic nie jest w stanie rządu i wielkiej większości Wysokiej Izby powstrzymać od tej spadzistej i niebezpiecznej drogi i na inne sprowadzić tory. Z tą pewnością liczymy się o każdym czasie. Przyjmujemy zaostrzoną walkę, dumni, że zniewoleni jesteśmy walczyć przeciw znacznej przewadze, pomni naszej tradycyi historycznej, i że walczyć będziemy.

Słuszność i prawo mamy po naszej stronie; po naszej stronie będzie także zwycięztwo.“

Oprócz antypolskich rozpraw w sejmie wtorowały różne wrogie nam hasła „uderzeniu w dzwon Maryenburski.“ „Trzeba rozdzielić prowincyą poznańską, ażeby znikła z widowni“ wołają jedni; „trzeba zniweczyć swobodę prasy i zebrań polskich“ krzyczą drudzy a już, już „Münch. Allg. Ztg.“ wróży, iż coś się wykluje w rządowych sferach przeciwko polskim dziennikom politycznym.

Ale w imię sprawiedliwości zapisać

się godzi, że nie wszędzie w Niemczech rozbrzmiewa antypolska pobudka bojowa. I tak oto zaledwie kilka dni przed uroczystością malborską, wypowiedział ks. Ludwik bawarski na 38 zjeździe rolników bawarskich mowę zupełnie innego ducha, niż enuncyacye cesarskie. „Po dniach złych pomyślne dni przychodzą, ale po dniach dobrych zła nastać może doba. Jest to wielką prawdą, której uczy historya i o której pamiętać powinni ci przedewszystkiem, którzy stoją na czele. Wszelako i ci niechaj ją mają w pamięci, którzy są w niedoli. *Choćby się narodowi powodziło najgorzej, nie zginie, jeśli jest moralnie dzielnym, a z drugiej strony może naród być bardzo potężnym i panować nad całym światem*, a jednak nie można wróżyć, że zawsze będzie *górą*, chyba, że pozostanie *moralnie dzielnym.* Spojrzyjmy w świat stary i w nowy świat.

„*Upadały narody pozornie niezwyciężone, rzekomo* uległszy przemocy innego narodu, istotnie zaś *własnemu zepsuciu i rozkładowi moralnemu. Niechaj to będzie pociechą dla pognębionych obecnie, byle tylko nie zatracili swej siły moralnej*, potrzebnej do wybicia się na wierzch; a niechaj też będzie *przestrogą dla tych, którzy dziś są górą....*"

Tak mówił inny książę niemiecki....

W monarchii austryackiej mowy cesarza Wilhelma niemały wzbudziły niepokój. Jako wielki mistrz zakonu Joanitów zaproszonym był arcyksiążę austryacki Eugeniusz na uroczystość malborską. Z przyczyn atoli dotychczas należycie nie wyświetlonych wysłał zastępcę, jener. Berchtolsheima, który na wojowniczą mowę monarchy niemieckiego odpowiedział pokojowym toastem, kładąc nacisk na wzniosłe zadania zakonu, wynikające z prawd chrześcijańskich, osobliwie zaś z zasady miłości bliźniego. Posłów radykalniejszych austryackiej Rady państwa takie zachowanie się jenerała nie zadowolniło. Na wtorkowem posiedzeniu Rady więc zainterpelowali prezesa ministrów Körbera o to, że przedstawiciel Austryi w Malborgu nie zaprotestował przeciwko apostrofom cesarza, dotyczącym Polaków i Słowiańszczyzny. Czech Klofacz z obozu radykałów, wnosząc interpelacyę, imieniem 5 posłów, zapytywał, co rząd austryacki uczynić zamierza wobec enuncyacyi malborskich, któremi „monarcha niemiecki stanął niejako na czele wszechniemieckiego ruchu przeciwko Słowianom"? W dalszym ciągu zaznaczył Klofacz, że cesarz nie mówił o „zuchwałości" polskiej — jak rozniosły telegramy urzędowe, lecz o „polskiej bezczelności". „*Jak może mówić tak monarcha, za którego dynastyę pod Sedanem polały się polskiej właśnie krwi strumienie*"? Mowa Klofacza przeplataną była bardzo ostremi zwrotami przeciwko niemieckiemu monarsze, a czescy radykałowie wtórowali mówcy wykrzykami „fe". Ku końcowi zawołał poseł Fressl: „Mamy rząd tchórzliwy! Jesteście niewolnikami niemieckiego cesarza!" — a wśród wzmagającej się wrzawy marszałek zamknął burzliwe posiedzenie.

Czy i w Peterburgu, w kołach kierowniczych, mowy malborskie wywołały niezadowolenie i niesmak, dotąd niewiadomo. Tak samo też trudno dziś osądzić, czy i o ile one wpłyną na zamierzone spotkanie monarchów niemieckiego i rosyjskiego, podczas tegorocznej jesieni przy manewrach floty rosyjskiej na Bałtyku. Polityka niekiedy dziwnych sztuk dokazuje, zmienia usposobienie nagle i nagle naprawia....

Tak zdaje się też, że w usposobieniu wzajemnem Anglików i Burów dokonuje się zmiana, jakiej podczas niedawno jeszcze wrzącej krwawej walki nie można się było spodziewać. Anglicy teraz już jakby zapomnieli własnych „bohaterskich czynów", już się nie chwalą i nie chełpią ckliwie, jeno wyrażają cześć zawojowanym przeciwnikom, cześć, która się tymże słusznie należy. Niebawem też wszystko powróci do prac pokojowych, oręż spoczął pewnie na zawsze, a prezydent Krüger już dał widoczny znak, że uznaje Transwal za podległy berłu angielskiemu, zdejmując z swej wili czterokolorową chorągiew burską.

I w innych krajach po burzach przelotnych panuje cisza i spokój. Bez żywszych objawów namiętności stronniczych dokonała się zmiana gabinetu we Francyi, a po ustąpieniu Waldeka-Rousseau, nowe ministerstwo pod prezydenturą przeciw klerykalnego senatora Combesa już się ukonstytuowało. Nowy prezes gabinetu francuskiego wziął sobie za program sprawiedliwy rozkład ciężarów podatkowych, a jednocześnie też zwalczanie klerykalizmu. Ztąd też ów spokój we Francyi uważać należy za chwilowy tylko.

Tak samo i w Rosyi wzburzone umysły pozornie tylko się uspokoiły. Gdzieś w ukryciu, tu i tam, kotłuje się dalej i dalej, niezadowolenie ogarnia coraz szersze masy narodu, a reformy gruntownej wadliwych czynowniczych stosunków ani się spodziewać.

K. P.

PRZEGLĄD PRASY.

Z licznych mów, jakie cesarz przy rozmaitych okazyach wygłosił, rzadko która tak dużo wywołała wrzawy, jak obie mowy wypowiedziane d. 5-go bm. w Malborgu podczas uroczystości, uświęcającej akt odnowienia starożytnego krzyżackiego zamku. Po głośnych, zdumiewających cały świat ucywilizowany, przejawach wrogiej przeciwko Polakom polityki, zadawano sobie zawsze jeszcze pytanie, czy monarcha pruski, a jednocześnie cesarz niemiecki, jest takiego samego względem polskości usposobienia, jak zaostrzający się coraz bardziej antypolski systemat rządowy. Myśmy, co prawda, nie łudzili się pod tym względem. Zdawało nam się niemożliwem, iżby nienawistny zwalczonym orężnie Polakom duch współczesnego rządu pruskiego, mógł się trzymać tak długo bez przychylności monarchy dla jego kierunku. I słusznem było powyższe przypuszczenie nasze.

Czegośmy atoli nie przewidywali, to otwartej takiej pobudki monarszej, jaka z murów malborskich rozbrzmiała po całych Niemczech, pobudzając już i tak roznamiętnione przeciwko nam umysły w Niemczech do bardziej jeszcze nieprzyjaznej postawy. Ale słowa monarsze omówione w osobnych artykułach, nie przerażą i nie przygnębią nas. Nie, — wywrą one raczej na stosunki nasze ten dobry wpływ, że jeszcze trzeźwiej niż dotąd oceniać będziemy nasz stosunek do monarchii pruskiej, że jeszcze bardziej nas zespolą i do tym większej energii w narodowej obronie pobudzą.

Tak mniej więcej ocenia też znaczenie i skutek mów malborskich cesarza Wilhelma cała nasza i nawet zagraniczna prasa, której głosy o tej ciekawej enuncyacyi monarszej w ważniejszych wyjątkach podajemy. Niektóre z pism naszych zwrot antypolski, zwrot monarchy, uznały za tak znamienny w naszem położeniu, że na pierwszą wieść o nim wstrzymały się od obszerniejszych uwag.

I tak **„Dziennik Poznański"** nazwał nieprzyjazną nam apostrofę monarchy

> „tak wymowną, że jakiekolwiek komentarze mogłyby tylko osłabić wrażenie tej antypolskiej mowy cesarza Wilhelma II.
> „Czegoż się doczekamy w Poznaniu?
> „Spuszczajmy okien naszych zasłony, żeby świat nie widział naszych wątpliwości!"

„Dziennik" ma oczywiście na myśli blizkie odwiedziny cesarskie w Poznaniu, wzywając ogół do tego, ażeby nie objawiał fałszywych i złudnych pozorów nawet, jakoby miał inne usposobienie, niźli to, które jedynie odpowiadać może malborskim wynurzeniom.

„Wielkopolanin" podobną myśl wypowiada otwarcie w słowach:

> „Najważniejszem jest, że ta mowa przekona wszystkich, co cesarz o nas myśli i jakie zajmuje stanowisko wobec Polaków.
> „Wyraźniej tego cesarz niemiecki zaznaczyć nie mógł.
> „Jest to ważnem *dla naszego zachowania się w czasie pobytu cesarza w Poznaniu; — zachowamy się spokojnie, to jest usuniemy się zewsząd, nawet z ulicy.*"

I **„Goniec Wielkopolski"** nie rozwodzi się obszerniej nad tym przedmiotem, poprzestając na zwięzłej uwadze, że:

> „Słowa i czyny królewskie nie podlegają odpowiedzialności wobec konstytucyi w przeciwstawieniu do przemówień i czynów odpowiedzialnych ministrów. Dlatego ograniczamy się do gołosłownego podania przemówienia króla pruskiego, Wil-

helma II, nie opatrując go w żadne uwagi. Ogólnie tylko dodać należy, że z słów królewskich będziemy się starali jednę przynajmniej wynieść naukę, a mianowicie tę, że pod berłem pruskiem jeden mieszka polski naród, czy to w Wielkopolsce, na Slązku, w Prusach, na Kaszubach czy na Warmii."

„Dziennik Kujawski" uwydatnia w swoich uwagach to, że cały naród polski słowa cesarza Wilhelma utrwali sobie w pamięci:

„Po raz wtóry daje cesarz Wilhelm osobiście wyraz swym uczuciom względem swych poddanych — Polaków. Ośm lat temu w Toruniu udzielił nam napomnienia — dzisiaj obwinia nas o zarozumiałość, krzywdzenie niemczyzny, jej „sztuki i obyczaju", oraz wzywa Niemców na wały obronne. A słowa te są wymierzone nietylko przeciw nam, pod berłem pruskiem, ale przeciwko wszystkim Polakom.

„Fakt ten znamienity — podyktowany względami politycznymi jakich tu rozbierać nie chcemy — zapisze sobie też w pamięci cała Polska."

Ze spokojem, a szlachetnie pisze **„Gazeta Gdańska:"**

„My możemy przed światem całym z ręką na sercu powiedzieć, że nic o takiej swawoli nie wiemy. Wiemy tylko, że niemczyzna następuje na nas całą siłą, że od kolebki naszej aż do mogiły czyha na nas germanizacya i niechęć niemiecka i że do nieszczęść naszych w Prusach Zachodnich przyłączyło się teraz nowe, najpotworniejsze: germanizacya przez kościół.

„Wiemy, że braci naszych sta tysiące jeszcze nie uświadomionych, nie czyta gazet polskich, modli się z niemieckich książek itd. itd. i że czas najwyższy, abyśmy wszyscy poczuli się wreszcie do obowiązku obrony, mianowicie przez szerzenie dobrych gazet polskich. Że my bronimy skarbów i świętości naszych, tego nam nikt za złe brać nie może i z drogi takiej też nikt za zawróci."

„Dziennik Berliński" widzi w apostrofie malborskiej cesarza dowód, że nie tylko jako *społeczeństwo* żyjemy, lecz znaczymy też coś w konfiguracyi politycznej, jako *naród*. „Dziennik Berl." kończy swoje uwagi następującym wyrazem otuchy:

„Powołuje cesarz „swój" naród do walki; przyznaje tem samem — w przeciwieństwie do ministrów pruskich, którzy zaznaczyli, że w Prusach jest tylko jeden naród niemiecki — że istnieje w obrębie państwa inny naród, wrogi Niemcom naród polski.

„Nie jesteśmy wrogami ich narodowości, jesteśmy tylko przeciwnikami ich, skoro występują w myśl tradycyi krzyżackich, zaborczych, w celu pochłonięcia naszego narodu.

„I nie ustąpimy. Im zamek malborski niech będzie symbolem walki i twierdzą — nam twierdzą serca polskich matek w każdej chacie! Zamek zostanie im pamiątką przeszłości — a z chat polskich wyrośnie nam przyszłość, której nie wstrzymają!"

W podobny ton uderza **„Gazeta Opolska"** pisząc:

„Osobiste i tak dosadnie wystąpienie głowy państwa przeciw nam wszystkim Polakom, całej ludności polskiej jest — pomimo swego bolesnego znamienia — świadectwem, stanowiącem dla nas niemałą otuchę. Niedawno jeszcze starano się w nas wmówić, iż już nas nie ma, iż są tylko „po polsku mówiący Prusacy," z którymi już liczyć się nie potrzeba.

„Tymczasem z najwyższego miejsca zaprzeczono temu stanowczo, co świadczy, że Polacy są nie tylko narodem z wielką przeszłością historyczną, ale i dziś jeszcze posiadającym tak wielką siłę ducha i żywotności, iż warto im jak najuroczyściej, z najpoważniejszego miejsca i w najpoważniejszej chwili wypowiedzieć energiczną wojnę."

W innych słowach ten sam duch przejawia się w poniższej uwadze **„Gazety Olsztyńskiej:"**

„Końcowy ustęp mowy cesarza Wilhelma, skierowany przeciw Polakom, aż nadto może nas przekonać, jakiemi uczuciami monarcha niemiecki wobec nas jest przejęty. Jeżeli pod tym względem panowały jakie złudzenia, to cesarska mowa w Malborgu zapewne je rozchwieje. Może być, że do wypowiedzenia tych słów pobudziły cesarza te starodawne mury zamku krzyżackiego, w których znajdowali się krzyżacy, owi starodawni przeciwnicy narodu polskiego.

„Nas Polaków takie mowy nie mogą zastraszyć, gdyż narodowość nasza od Boga zależy."

Tak się wyraziło i w innych jeszcze pismach wrażenie, jakie sprawiła malborska mowa monarchy na społeczeństwie polskiem w zaborze pruskim. O wiele dobitniej naturalnie objawił się nastrój naszego narodu w prasie dwóch innych zaborów. Skrępowani względami na ustawę prasową, nie możemy głosów polskich z Galicyi i Królestwa Polskiego choćby w streszczeniu przytaczać.

Wyjąć z nich możemy bardzo nie wiele. Dla objaśnienia wszakże, jak się zapatrują w zaborze austryackim na enuncyacyę cesarską przytaczamy choć jeden ustęp z obszernego artykułu **„Słowa Polskiego"**, odpowiednio scenzurowany. Organ ten, wyraziwszy odmienne historyczne zapatrywanie, niż to, które monarcha objawił w swej mowie, pisze następnie tak:

„Nie o błędy atoli, nie o rozprawy historyczne tu chodzi. Mowa Wilhelma II. z innego względu przedstawia fakt znamienny i doniosły. Bodaj pierwszy raz to się zdarza, że monarcha konstytucyjny, nieodpowiedzialny, występuje tak otwarcie w sporze narodowościowym, staje się rzecznikiem większości zwycięzkiej wobec pokonanej mniejszości, dzieli obywateli państwa na dwie klasy, z których jedna ma prawo obrony swych interesów, swych dóbr narodowych, a druga tego prawa nie ma....

„Ale to rzecz Niemców, my Polacy nie mamy powodu skarżyć się na wystąpienie Wilhelma II, na jego mowę malborską. W czasie niedługich jego rządów stało się dużo dla rozwoju naszej świadomości narodowej, dla wytępienia lojalizmu pruskiego, niemal powszechnego niedawno jeszcze wśród ludności polskiej.

„Żadna agitacya nie mogła tego zadania, niezmiernie ważnego dla rozwoju naszej świadomości narodowej, tak skutecznie dokonać. Dziś ten lojalizm polski jest już wspomnieniem przeszłości" mowa malborska Wilhelma II. resztki jego z serc polskich wypleni.

Teraz sprawa nasza stoi zupełnie jasno. W walce narodowej z niemczyzną, stoi przeciw nam nietylko rząd pruski, ale i korona, która wyrzeka się swej roli rozjemczej w sporach wewnętrznych. Cesarz Wilhelm sam wystąpieniem swem zaznacza, że sprawa polska przestała być, jak dotychczas stwierdzono, sprawą wewnętrzną państwa pruskiego, że ma szersze znaczenie międzynarodowe i międzypaństwowe. Mowa malborska właściwie uznaje nas za stronę wojującą, a z tego wypływają pewne konsekwencye, z któremi polityka pruska będzie musiała się liczyć."

Z dzienników polskich zaboru rosyjskiego, podkreśla „Gazeta Polska" szczególnie końcowy ustęp drugiej mowy cesarza z zachętą do „współdziałania zakonów czy to w dziedzinie ochrony zwyczajów i obyczajów, czy też na polu obrony wszystkiego, *co jest rzetelnie niemieckiem z tej i z tamtej strony granicy.*"

„Nie jestto po raz pierwszy — pisze wychodząca w Warszawie „Gazeta Polska" „że cesarz niemiecki zaznacza swoje niezadowolenie z zachowywania się ludności polskiej i wzywa naród swój do obrony żywiołu, zwyczaju i kultury niemieckiej nad granicą wschodnią; ale nigdy jeszcze w enuncyacyach jego nie było tego tonu głębokiej niechęci, nigdy z ust cesarza nie wyszło zawezwanie do walki z polskością pod adresem całego narodu niemieckiego, bez względu na to, czy żyje pod berłem Hohenzollernów, czy też Habsburgów. Jak zauważyła trafnie „N. Fr. Presse", cesarz przenosi politykę antypolską z widowni ściśle pruskiej w dziedzinę stosunków międzynarodowych. Jeżeli jednak organ liberalnych Niemców wiedeńskich mówi tylko o „przekształceniu polityki antypolskiej na walkę narodowościową," to nie ocenia dostatecznie doniosłości wystąpienia cesarskiego. Mowa malborska jest nie mniej interesującą dla Niemców i dla całej Europy, niż dla Polaków. Po raz pierwszy od czasu powstania cesarstwa niemieckiego władzca Hohenzollerński sięgnął swemi dążnościami po za granice swego terytoryum, mówił nietylko pod adresem swoich poddanych, lecz całego narodu niemieckiego „po tej i tamtej stronie granicy", zaznaczył jedność polityczną i kulturną rozdzielonego narodu i wystąpił jako powołany reprezentant obu odłamów. Że takie wystąpienie nie jest bez politycznego znaczenia, tego dowodzić nie potrzeba."

W prasie niemieckiej spotykamy naturalnie, odpowiednio do barwy politycznej rozmaitą ocenę enuncyacyi cesarskiej.

„Berl. Ztg." pisze:

„Niestety, możemy ztąd spodziewać się tylko zaostrzenia przeciwieństw w dzielnicach polskich, które nas więcej niż kiedykolwiek, oddalą od rozwiązania sprawy polskiej."

Berliński **„Tageblatt"** zaznacza:

„Jeżeli było potrzeba jeszcze znaku, by całemu światu, a w pierwszym rzędzie

Polakom w Prusach pokazać, jak monarcha myśli o polskiej agitacyi ostatnich czasów, to ustęp przemówienia cesarskiego wystarcza, by podziałać zupełnie objaśniająco."

„Tägliche Rundschau" natomiast wyraża swoje zapały w następujących frazesach:

„Zaiste książęcą była to uczta, podczas której przejawiła się powaga czasów i podczas której nie *dworskie*, tylko *niemieckie* uczucia odgrywały rolę. Kto to uznaje, ten zaliczy mowy nie do rzadkości, lecz *do poważnych objawów* czasu, które przygotowują do czynów."

Katolicka „Köln. Volksztg." nadmienia, iż

„toasty malborskie przypominają liczne inne mowy cesarza tego rodzaju. Mówił swego czasu cesarz o „przekomorath", którzy powinni strzepać proch niemiecki z obuwia swego; wysłał depeszę w 1896 do Kruegera, prezydenta Burów; mówił o „hołocie nie znającej ojczyzny"; wydał hasło, żeby „ludy Europy broniły swych najświętszych dóbr", mając na myśli Chinczyków, to znowu wzywał wojaków, idących do Chin, żeby się postarali o to, ażeby żaden Chińczyk w ciągu następnego tysiąclecia nie śmiał spojrzeć na Niemca krzywo itd.

„Tymczasem rzeczywistość — tak mniej więcej pisze dalej „Köln. Volksztg." poszła zimną drogą. Ustawa t. zw. przewrotowa (przeciwko socyalistom) pomimo poparcia cesarza nie dała się przeprowadzić, Chinczycy już teraz znów krzywo na nas patrzą, a pomimo mowy cesarza w Dortmundzie na rzecz kanałów wód krajowych, projekt ustawy odnośnej przepadł dwukrotnie, a w bieżącej sesji nawet nie pokazał się już w sejmie. To są fakta, dowodzące, że i władza cesarza ma pewne granice itd."

W przeciwieństwie do powyższych uwag kolońskiego organu katolików hakatystyczna prasa szaleje z radości, unosząc się jednocześnie nad wielkością, chwałą i świetnemi czynami kultury krzyżactwa. O żdzierstwach, zdradach i perfidii Krzyżaków, o bezlitośnem tępieniu pierwobytnych Prusów pod pozorem nawracania, o licznych okrucieństwach i rozpuście polakożerczej, krzyżackim duchem przejęte pismaki starannie milczą.

W chwili gdy przytaczamy głosy powyższe o mowach malborskich, niemamy jeszcze pod ręką szczegółów o wrażeniu, jakie mowy te sprawiły w Rosyi. Wiadomem na razie tylko to, że w ogólności krytyka rosyjska przyjęła je niesympatycznie.

Natomiast przytaczamy kilka wyjątków z rosyjskiej prasy, objaśniających nas, co Rosyanie sądzą o nowych 250 milionach na cele polityki antypolskiej.

„Nowosti" nie dziwią się, że sprawa niemiecka w Wielkopolsce nie może pochwalić się wyraźnemi zdobyczami:

„Pokazało się" — pisze dziennik ten — „że Niemcy szybko podlegają wpływowi polskiemu w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich i że nie są zdolni do walki z silną kulturą polską. Nic w tem dziwnego, Polacy, to odwieczni mieszkańcy tych prowincyi, silni bytem rolniczym, rodzinnymi związkami, tradycyami i religią. Dlatego to kolonizacya niemiecka natrafiła na poważne przeszkody i trudności."

Co zaś do projektu rządowego i uzasadnienia go przez Bülowa, to gazeta nie wierzy w powodzenie nowych zarządzeń i odzywa się w te słowa:

„Kolonizacya wewnętrzna, jak każdy inny środek administracyjny, ma swoje granice. Jakie mogą mieć znaczenie żądane 250 milionów marek? Dla budżetu pruskiego suma to znaczna, ale w stosunku do celu, jakiemu ma służyć, bardzo mała. Czechy przekonały dowodnie, jak trudno pozbawić naród jego właściwości narodowościowych nawet wówczas, gdy naród ten otoczony jest ze wszech stron żywiołami wrogimi. Poznańskie zaś i Prusy Zachodnie są w warunkach wyjątkowo pomyślnych, bo przylegają do ziem pokrewnych im. W takich warunkach wewnętrzna kolonizacya niemiecka będzie jeno ciężarem dla budżetu, ale skutków pomyślnych nie przyniesie, niepodobna bowiem prowincyi polskich przerobić na niemieckie. Z politycznego punktu widzenia projekty niemieckie także chyba się nie urzeczywistnią. Hr. Bülow mniema, że spotęgowanie żywiołu niemieckiego w prowincyach polskich będzie pomyślne dla interesów niemieckich. Ale zapomina o tem, że takie zarządzenia wywołują w Polakach opór stanowczy. Wiadomo, że obywatele i kupcy polscy zgromadzili fundusze i kupują majątki ziemskie w Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Tu toczy się energiczna walka na gruncie religji, języka i właściwości bytu. Im silniej działa rząd pruski, tem gorętszą jest opozycja Polaków. Co do niekonstytucyjności zarządzeń pruskich, to słusznie o tem mówili członkowie parlamentu. Poddani pruscy narodowości polskiej zażywać winni tych samych praw, co poddani niemieccy, a uciekanie się do środków wyjątkowych jest tylko wytworzeniem sprawy, jakiej nie znano przed r. 1886. Wreszcie polityka rządu pruskiego źle wpływa na stosunki Niemiec z Austro-Węgrami, a oziębienie stosunków politycznych może się spotęgować chociażby ze względu na to, że w państwie, sąsiadującem z Austrją, wytwarza się grunt dla zatargów narodowościowych."

„Birż. Wied." streszczają mowy kanclerza Bülowa, a potem mówią, że:

„Cesarstwo Niemieckie, stworzone w imię jedności niemieckiej, nie ma miejsca dla prowincyi polskich, które winny zniknąć pod uderzeniami młota niemieckiego, co nie liczy się z duszą ludzką, w którą uderza.

„Ale w danym wypadku pytanie to nie jest bez znaczenia, bo prowincye polskie, które chcą wynarodowić kosztem nowych 250 milionów, postawione są pomiędzy ruchem podwójnym: pomiędzy światem niemieckim, oddawna już dążącym do zamknięcia swego rozwoju narodowego, a światem słowiańskim, który niedawno poznał swą siłę plemienną i polityczną.

„Niemcy przez usta swego kanclerza przypomniały Polakom, że należą do świata słowiańskiego. Czy zginą oni w morzu niemieckiem, czy też po długiem błądzeniu po świecie wrócą do siebie do domu i zapragną żyć nie marzeniami o dawnem państwie polskiem, lecz interesami własnymi w żywej jedności ze Słowiańszczyzną? Tak pytanie to formułowała przed laty 30 rosyjska myśl polityczna, tak samo też, zdaniem naszem, sformułowano je w Izbie pruskiej, bodaj że pomimo woli kanclerza niemieckiego."

„Russk. Listok." nie wierzy w powodzenie planów germanizacyjnych i dodaje, że:

„...wroga polityka niemiecka sprowadziła rzecz dobrą. Oczy Polaków się otwierają i oni zaczynają pojmować, że ratunkiem dla nich jest Słowiańszczyzna i ścisłe zjednoczenie z pokrewnymi im narodami i plemionami. Niemcom coraz trudniej stosować do Słowian zasadę „divide et impera." Słowianie rosną duchowo i coraz wyraźniej zaczynają pojmować, że siła ich polega na zjednoczeniu i zgodzie wzajemnej.

„Stulecie bieżące będzie świadkiem wielkiej walki kulturnej pomiędzy światem germańskim a słowiańskim. Kto będzie zwycięzcą? Czy dumny swą przeszłością, ale przeżyty już germanizm, czy też młoda, ale silna i pełna życia Słowiańszczyzna? *Qui vivra — verra.*

Tak zobaczymy!

A. S.

Głosy od przyjaciół.

Essen.

Szanowna Redakcyo!

Będąc abonentem „Pracy", widywałem w niej od czasu do czasu korespondencye z Essen, które o ile się o tem osobiście przekonać mogłem, prawie zawsze z prawdą się zgadzały. Jednakowoż zdaje mi się, że nie poruszono w nich jeszcze wszystkiego, co nas dotyczy i dlatego pozwalam sobie Szanownej Redakcyi jeszcze kilka słów napisać, mianowicie o stosunkach religijnych. W ogólności są stosunki te dosyć dobre, jakkolwiek pod tym względem prześladowania jako Polacy znosić musimy, z różnemi przeszkodami się borykać, które nam po największej części nasi niemieccy duszpasterze stawiają.

Ograniczają oni bardzo czas przeznaczony na nasze nabożeństwa i wyznaczają takowe w godzinach nader niestósownych, ponieważ już były zdarzenia, że od pierwszej do drugiej w południe, kiedy Niemcy odpoczywają i korzystają z swych „mahlzeitów", wtenczas Polacy mają iść do kościoła, a czasem nawet wyznaczają czas wieczorem od godz. 6-ej do 7-mej, kiedy Niemcy w letniej porze urządzają sobie rozmaite „ausilugi", aby po całotygodniowej pracy odetchnąć i zaczerpnąć świeżego i zdrowego powietrza, to właśnie w tym czasie odprawia się nabożeństwo dla Polaków, na którem nam nawet ksiądz błogosławieństwa nie udzieli, gdyż księża mają wymówkę, że muszą na niemieckich „feierach" być obecni. To też jest powodem, że tak mała liczba Polaków na nabożeństwach tych się znajduje. Inaczej zupełnie wygląda, gdy przybędzie do nas kapłan — Polak

ı w ojczystym języku do nas przemówi, wtenczas kościół słuchaczami, pragnącymi słowa Bożego, napełniony po brzegi.

O wyżej wspomnianych i innych dowodach „życzliwości" niemieckiej do nas, wiele by jeszcze było do pisania, ale szkoda na to czasu, gdyż wszyscy chyba tę życzliwość dostatecznie znamy, chciałbym tylko jeszcze coskolwiek o naszem życiu narodowem wspomnieć. O Polakach, którzy do żadnych Towarzystw nie należą i od współrodaków stronią, niema co wspominać, gdyż zgubieni to już dla Ojczyzny, a może i dla wiary katolickiej ludzie. Towarzystwa polskie, jakkolwiek z nich niektóre sprawie naszej służyć pragną, nieosięgają po największej części zamierzonego celu, gdyż brak im po największej części ludzi, którzy by niemi należycie kierować mogli, którzy by się przedewszystkiem zajęli wykładami, mianowicie z historyi z przeszłości naszej, często bardzo mało członkom znanej, którzyby zapoznawali członków z wielkimi poetami i pisarzami naszymi.

Przyczyniło by to się zdaniem mojem wielce do podniesienia ducha narodowego i stało by się podnietą do wierzenia w przyszłość. Mamy tu wprawdzie niektórych gorliwych patryotów, którzy chcą poczucia polskie podnieść, lecz cóż, kiedy im w tem nawet właśni rodacy, sprzymierzeńcy Centrum przeszkadzają, na co dowodem następujące zdarzenie:

Swego czasu na zebranie tutejszego Towarzystwa przybył raz w ciągu roku ksiądz Niemiec, jako honorowy prezes tegoż Towarzystwa, i przemówił krótko do zebranych. Po nim zabrał głos jeden z obecnych członków, ma się rozumieć, iż nie żaden pochlebca niemiecki, tylko dzielny wiarus, chcąc księdzu podziękować za odwiedzenie towarzystwa. W mowie swej poruszył i przytoczył kilka słów z dziejów ojczystych, wspomniał o sławnym Janie Sobieskim, Kościuszce i t. d., za co gdzieindziej niezawodnie odebrałby był liczne oklaski, lecz cóż się stało? Oto powstaje kilku, a najpierw od stołu zarządu i zakazują temu panu dalszego mówienia, ponieważ, jak sądzą, mowa jego zawiera politykę, a zatem nie godzi się jej w obecności księdza Niemca wygłaszać, co widząc tenże, postanowił lokal opuścić, a nawet z Towarzystwa wystąpił.

W końcu nadmienić mi wypada, iż istnieje tutaj Koło śpiewu, które dzięki staraniom niektórych panów się pomyślnie rozwija. Członkowie dbają tak o sprawy narodowe, jako też religijne.

S. J.

* * *

Blumenthal.

Szanownej Redakcyi

pozwalam sobie donieść cokolwiek o stosunkach naszych narodowych w Blumenthalu. Prawdę mówiąc, to sprawa polska licho tutaj stoi, gdyż nie mamy nikogo prawie, komubyśmy kierownictwo powierzyć mogli. Z inteligencyi polskiej bowiem nie ma tu nikogo, bo wszyscy prawie jesteśmy robotnikami fabrycznymi.

My pragniemy jednakowoż zostać Polakami i bronić się do ostatka; a że tak jest, dowodem 4 polsko-katolickie towarzystwa, któreby dla nas wiele uczynić mogły, gdyby w zgodzie zawsze ręka w rękę pracowały, czego chwilowo jednakowoż nie czynią, ale jest nadzieja, że będzie lepiej. Mamy księdza, który nadzwyczaj dobry dla nas Polaków, i w kościele najsprawiedliwiej się o nas stara; także polskiego kapłana dostajemy 3 razy do roku, i tak na Wielkanoc to nie czeka aż sam biskup przyśle misyonarza, ale sam stara się o polskiego kapłana z Galicyi. Także i tego roku mieliśmy z Galicyi zakonnika, który nas podniósł na duchu i rady udzielił i otuchy Towarzystwu dodał. Chcieliśmy się starać, żeby kapłana Polaka na stałe tutaj dostać, ale proboszcz nasz nam odradza, mówiąc, żeby to tak żadnego skutku nie odniosło, bo wobec trudności, jakie nam Polakom w pruskiem państwie, nawet co do opieki duchownej stawiają, rząd na to nigdy nie zezwoli, żeby kapłan Polak dostał pozwolenie od rządu na stałe osiedlenie się pomiędzy nami.

My jednakowoż chcemy szczęścia popróbować, bo nam się kapłan-rodak słusznie należy, gdyż my Polacy stanowimy w parafii większość. — Gdyby księdzu pensyi dać nie chcieli, tobyśmy się sami na nią złożyli i każdy jest chętnie gotów na cel ten 3 marki i więcej rocznie zapłacić; sprawą tą ma się zająć komitet, złożony z poszczególnych Towarzystw.

Robotnik W.

Sprawy ekonomiczne.

Przemysł własny i my.

Zdaje się, że dziś już wszyscy pragniemy szczerze odrodzenia ekonomicznego, rozwinięcia silnego, własnego przemysłu — lecz nie zawsze wiemy, co robić? Rozpatrzmy przeto, jak nam należy postępować, jaki kierunek stale i wytrwale zachować, aby służyć tej, dziś tak wysoko podniesionej myśli narodowej.

Jak w każdej innej sprawie, tak i w tej, rozpada się akcya na dwa działy: na pracę powołanych do tego, czynnie występujących, należycie uzdolnionych, środkami działania wyposażonych osób i ciał, które nowe gałęzie przemysłu organizują, wytwarzają i rozwijają, t. j. na producentów — i na bierną publiczność, która wytwory tego przemysłu ma spożywać i których konsumcya stanowi dopiero o sile i rozległości produkcyi.

Tak jak pierwsi, tylko w pewnych warunkach działając, mogą oddać zbawienne usługi krajowi — tak i drudzy tylko pewnem, spokojnem, wyrozumiałem, życzliwem a wytrwałem zachowaniem się mogą spełnić swój narodowy obowiązek.

Producent — i w interesie własnym i w interesie kraju — powinien być niesłychanie oględnym, gdy przystępuje do założenia przedsiębiorstwa przemysłowego. Lekkomyślność, nieopatrzność, brak wiedzy fachowej, niedostateczność środków do podjęcia przedsiębiorstwa, tyle razy u nas już zawiodły a doprowadzając do upadku najzdrowsze na pozór przedsiębiorstwa, takie wywołały zniechęcenie do przemysłu, tyle wzbudziły nieufności — że jako wykroczenie przeciw dobru Ojczyzny poczytywać zaiste należy płoche podejmowanie przedsiębiorstw źle obmyślanych.

Nie idzie zatem, ażeby działać przeciw odwadze przemysłowej. W naturze każdego przemysłowego przedsiębiorstwa leży ryzyko — więc, kto chce zajmować się przemysłem, powinien umieć dużo i szybko ryzykować. Amerykanie twierdzą, że największem powodzeniem w wykonaniu cieszą się u nich pomysły najfantastyczniejsze i na największą skalę zakrojone. Ale bo też Amerykanie, ten przedziwny wytwór różnych ras i plemion europejskich, celują podziwienia godną praktycznością i energią, a stanąwszy dziś ze swym przemysłem ponad Europą, świe[illegible] jako niedościgniony wzór państwa, [illegible] w niespełna pół wieku zdołało i rolnictwo swe i przemysł doprowadzić do niesłychanej potęgi.

Nie idzie tedy o podkopywanie odwagi do przemysłu i ryzyka, lecz o praktyczność amerykańską, o bardzo ścisłą rachunkowość, o jak najlepszą wiedzę fachową, o bystre rozpatrzenie szans i dróg handlowych dla zamierzonego produktu przemysłowego — gdyż brakiem tego wszystkiego grzeszyliśmy właśnie dotychczas i dlatego ponosiliśmy klęski za klęskami.

Lecz jeźli takie surowe wymagania stawiamy przemysłowcom naszym jako nieodzowne — to cóż ma czynić publiczność wobec nich?

Przedewszystkiem otworzyć im źródła zasobów pieniężnych, dostarczać kapitału, leżącego najczęściej martwo lub angażowanego w papierach przemysłowych zagranicy, gdzie pieniądz polski służy właśnie do wytwarzania potęgi, która nas gniecie i zetrzeć usiłuje. Bez tej pomocy w dostarczaniu kapitałów, daremnemi będą pokuszenia i usiłowania w dźwignięciu przemysłu — a to tem bardziej, że chcąc skuteczny stawić opór napływowi obcych fabrykatów, musimy te same fabrykaty produkować lepiej i taniej, a więc tylko na większą skalę i przy pomocy najnowszych i najlepszych maszyn.

Przemysł powinien zrazu liczyć na obowiązek patryotyczny, nawet na pewne poświęcenie — lecz to nie są wcale podstawy, na których on trwać i rozwijać się może. Przemysł nasz własny stanie się dopiero wtedy prawdziwą potęgą ekonomiczną, jeśli będzie dawał większe korzyści angażowanemu w nim kapitałowi, niż przedsiębiorstwo zagraniczne, a możliwem to będzie tylko wtedy, jeśli stanie na wysokości najnowszych udoskonaleń technicznych i oprze się o wyższą skalę produkcyi.

Lecz przemysł nasz, w normalnym swym rozwoju ma jeszcze drogę powolnego rozrostu pracowni rękodzielniczych w zakłady fabryczne. Tą drogą rozwinęło się u nas niejedno przedsiębiorstwo, zdobywając powoli grunt i utrwalając swą żywotność. I ta więc naturalna metoda powinna być stale pielęgnowana i popierana — a to zależy znów od poczucia obowiązku i patryotyzmu publiczności.

Publiczność wobec usiłowań podźwi-

gnięcia przemysłu jest ową stroną bierną, która nie potrzebuje występować czynnie i podejmować jakieś nadzwyczajne wysilenia, ale tylko zmienić swe nawyczki — a już się stanie podstawą przemysłowego odrodzenia.

Od stu lat przyzwyczailiśmy się brać wszystko obce, co nam w składach podają — a podają nam prawie wyłącznie wytwory obcego przemysłu. Z lenistwa, z nawyknienia nie pragniemy zmiany. Nauczyliśmy się już oceniać rozmaite gatunki owych wyrobów, znamy ich ceny, umiemy się targować, bo nas tego nierzetelni kramarze nauczyli — grzężniemy bezmyślnie w tym stanie rzeczy i nie zdajemy sobie wcale sprawy, żeśmy na najlepszej drodze do bankructwa ekonomicznego i narodowego, do nędzy i upadku.

Otóż obowiązek narodowy staje dziś przed nami i woła: Ostatnia to chwila, abyście zmienili wasze nawyknienia, bo lecicie w przepaść! Nikt nie żąda od was bohaterstwa, tylko zwykłej, codziennej cnoty, liczenia się z tem, coście winni krajowi. Stracicie na tem może trochę czasu, doznacie może chwilowej niedogodności, dotkniętą zostanie wasza gnuśność myślenia o czemś nowem — ale nieobliczalne usługi oddacie ogółowi.

O cóż chodzi? Oto niech pan domu i pani domu, hoży młodzieniec, panienka na wydaniu, uczeń szkolny, rękodzielnik, robotnik, sługa — niech każdy, mając zrobić jakieś zakupno, pomyśli za każdym razem o tem, czy nie dostanie wyrobu krajowego, niech się nauczy poznać te wyroby polskie, nawyknie szukać ich, niech stara się je koniecznie wynaleźć i da im pierwszeństwo przed wyrobami zagranicznymi. Dopiero jeśli krajowych nigdzie nie znajdzie — niech kupuje obce.

Niech każdy w rozmowach porusza tę sprawę i kładzie nacisk na ten obowiązek — niech wpaja w dzieci wcześnie przekonanie, że służą Ojczyźnie zaopatrując się w wyroby krajowe — niech przyjmuje z pobłażaniem, jeśli nie wszystkiego, nie natychmiast i nie w najlepszym gatunku Polska mu dostarczy — niech wszyscy mają cierpliwość i miłość dla wszystkiego, co swojskie — wywołają potrzebę stokrotnego pomnożenia pracy rąk przemysłowych w kraju, wytworzą opokę, na której wielki przemysł będzie mógł spokojnie budować.

I to jest cnota narodowa, do której każdy jest obowiązany, jeśli chce wprost zachowaniem swem tylko zapobiedz, ażebyśmy się nie stoczyli w przepaść ekonomicznej i narodowej nicości.

J. Starkel.

Kronika.

Tydzień ostatni był iście malborskim. Dzienniki przepełnione były szczegółami i uwagami o ceremoniach krzyżackich, domy i strzechy polskie przepełnione duchem narodowym bardziej niż kiedykolwiek, restauracye i lokale przepełnione gwarem na temat mów cesarskich, przyczem nawet niemieckie głowy nad kuflami pochylone kiwały się z zadziwienia na prawo i na lewo. Tak się mniej więcej objawiły wrażeniä wywołane telegraficznemi nowinami „z marienburskiej wieży“.

Jeden tylko szczegół z uroczystości uszedł, jak się zdaje, baczniejszej uwagi, a to następujący.

Mowy toastowe monarchy miały być rozgłoszone bezpośrednio po przejrzeniu stenogramów, przez t. zw. cywilny gabinet cesarski. Umyślny zastępca urzędowego biura telegraficznego Wolffa ustawiony był tuż za siedzeniem monarchy, ażeby skrzętnie notować wszystko i ani słowa nie zgubić. Po przejrzeniu miały mowy pospieszyć do Berlina i ztamtąd rozejść się po świecie. Ale w tejże chwili na zachmurzonem niebios sklepieniu w krótkich po sobie przerwach zadrgały jasnym blaskiem gromy, a wśród grzmotu i nawałnicy wypowiedziały posłuszeństwo telegraficzne i telefonowe połączenia.

Donosi o tem grudziądzki „Geselliger“, naturalnie nic sobie przytem nie myśląc, a ubolewając tylko, że burza uniemożliwiła mu rychlejsze zamieszczenie szczegółów, dotyczących polskiego „zuchwalstwa“, czy też — jak „Danziger Ztg.“ twierdzi — „polskiej bezczelności i sarmackiej pretensyonalności zuchwałej“.

Ale w obec nowin z Malborga nie wszędzie w Niemczech był nastrój równy. I tak np. właśnie dnia tego wieczorem we Wrocławiu w ogrodzie Liebiga zagrano na koncercie „Z dymem pożażów“ i „Boże coś Polskę“, jako „polnische Lieder“, a publiczność zgromadzona — jak naoczny świadek stwierdził — entuzyastycznie tę produkcją muzyczną pieśni naszych oklaskiwała i nikt się taką profanacyą uszu pruskich nie zgorszył.

Samo się przez się rozumie, że tego rodzaju sympatyczne dla naszej narodowej objawy nie złudzą nas już i nie zwiodą do mylnych wyobrażeń o usposobieniu Niemców względem nas. Taki tani entuzyazm, jak w koncertowym ogrodzie wrocławskim, nie zmieni faktu, że Niemcy lekceważą sobie wszystko co polskie. Lekceważą sobie literaturę naszą, chociaż z tłomaczonych autorów, Sienkiewicz najwięcej u nich czytany; lekceważą sobie polską sztukę, chociaż na popisy artystów polskich spieszą zazwyczaj gromadnie a za obrazy polskie płacą suto złotem; lekceważą sobie nasz język, chociaż w uczciwszych chwilach unoszą się nad jego pięknością.

Co do lekceważenia mowy naszej, to tydzień ostatni dostarczył nam świetnej próby. Oto po miastach, zamieszkałych w znacznej lub przeważnej części przez Polaków, wędruje cyrk, z jakimś „dyrektorem“ Szablickim na czele; a dla zwabienia polskiej publiczności rozlepia następującego brzmienia plakaty:

„W tej chwili przybył. Tylko według przejażdy. Tylko 3 dni! Na tutajszem placu przedstawię odgrywa Akrobatyczny ańzamble The Pottolions (której miał tę sławę przed książęcoma i t. d. się w przedstawieniach dać wychwalać) cyklus przedstawień.

Imienia przedstawiających osób: Little, Georgi akt elastyczny. The Pottolions, akrobaty parterne. Fred Scharwini, silny gładiatór. Lori Pojac. Nie widzane do dzisiajszego dnia: Jazda w zębach! dwie osoby z ańzamble na 40 m długiem, 3 mm mocnem drocie. Originelny! Bez równości! Pan Tąli na japańskiem drocie. Karol Soboczyński mieczyłykacz. Theodór Hotti Sokoł powieczowy. W święta: i niedziele odgrywa się dwa przedstawienia a to jest o 4tej i o 8mej godzinie. W dnie robotne tylko jedno, o 8mej godzinie. Ceny miejsc I. miejsce 30 fen., II. miejsce 20 fen., miejsce do stania 10 fen. Uprzejmie zaprasza Szablicki, Direktor.“

Tak brzmi dosłownie nadesłany nam program p. „dyrektora“ Szablickiego który „miał tę sławę przed książęcoma się dać wychwalać w przedstawieniach aktu elastycznego, akrobaty parternego, jazdy w zębach na drocie, popisów mieczyłykacza“ i wszelkich innych sztukach. O jednej tylko sztuce nie wspomniano, a to o wyższej sztuce bezczelności, która swoją drogą już w samym programie wspaniale się zadokumentowała. Takiem skoszlawieniem naszej mowy chcieć łapać polską publiczność, to zaiste szczyt bezczelności.

Alius.

Hołd pruski.

(Do illustracyi albumowej.)

Dnia 10go kwietnia 1525 roku Albert pruski, Wielki Mistrz krzyżacki, przybył w pokorze z Malborga do Krakowa i na Rynku przed królem Polskim Zygmuntem, na klęczkach złożył przysięgę, że będzie posłusznym królowi Polskiemu i zawsze wiernie służyć Polsce...



Hołd Pruski dnia 10-go kwietnia 1525 roku Zygmuntowi I-mu w Krakowie zaprzysiężony.

(Objaśnienie illustracyi albumowej.)

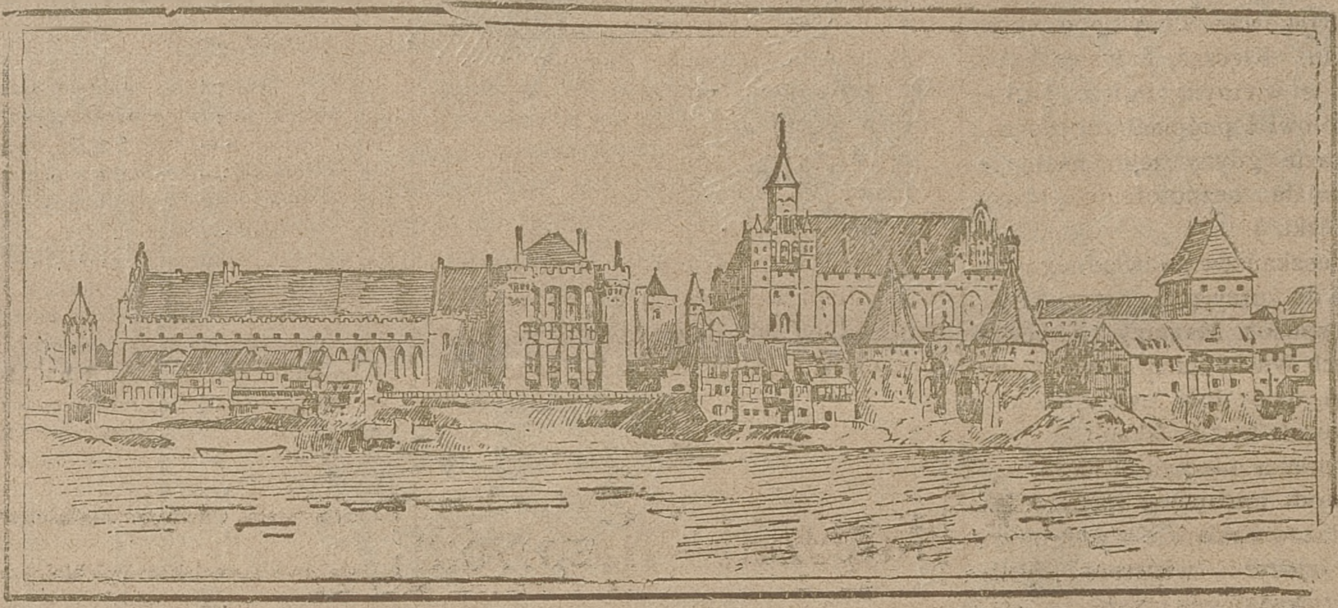
1. Król Zygmunt I.
2. Zygmunt August.
3. Piotr Opaliński.
4. Piotr Tomicki, biskup krakowski.
5. Hieronim Łaski.
6. Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński.
7. Krzysztof Szydłowiecki.
8. Mikołaj Firlej.
9. Andrzej Tęczyński.
10. Gasztold.
11. Górka.
12. Jan Bonar.
13. Albert, książe Pruski.
14. Hejdek.
15. Fryderyk, książe Lignicki.
16. Jerzy książę Auspach.
17. Królowa Bona.
18. Zofia Mazowiecka.
19. Anna ks. Mazowiecka.
20. Janusz Mazowiecki.
21. Jadwiga Jagiell.
22. Konstanty, książe Ostrogski.
23. Jan Tarnowski.
24. Maurycy Ferber, bisk. warmiński.
25. Kreuzer.
26. Piotr Kmita.
27. Andrzej Kościelecki.
28. Seweryn Bethman.
29. Przecław Lanckoroński.
30. Bartłomiej Berecci.
31. Stańczyk.

KRZYŻACY.

(Jak powstało państwo pruskie).

W dawnych czasach w kraju, leżącym po prawej stronie Wisły aż do Niemna, mieszkali Prusacy, naród pokrewny Litwinom. Za czasów Bolesława Chrobrego zamordowali ci Prusacy św. Wojciecha, który chciał ich na wiarę chrześciańską nawrócić. Był to naród pogański, do starej wiary swojej i starych obyczajów przywiązany. Prusacy, podobnie jak Pomorzanie, którzy byli jednej krwi z Polakami, ale w pogaństwie trwali, często napadali na Polskę. Niejednokrotnie królowie i książęta polscy starali się poskromić Prusaków, ale nawet walne zwycięstwa nad nimi nie zapewniały na dłuższy czas pokoju. Zwłaszcza cierpiało od najazdów Prusaków sąsiadujące z nimi księstwo mazowieckie. Pierwszy książę mazowiecki Konrad, brat Leszka Białego, chcąc zabezpieczyć posiadłości swoje od napaści złych sąsiadów, powołał z Niemiec rycerzy zakonnych, zwanych Krzyżakami, i dał im w posiadanie ziemię chełmińską (w dzisiejszych Prusach Zachodnich), oraz ziemie, które na Prusakach zdobędą. Stało się to w r. 1226.

Krzyżacy stanowili zakon rycerski, który miał za zadanie obronę grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie. Rycerze, którzy należeli do tego zgromadzenia, składali śluby zakonne, byli więc i zakonnikami i zarazem żołnierzami. Ale w tym czasie, gdy ich Konrad powołał, nie mieli już ochoty narażać się na niebezpieczeństwo w dalekiej Palestynie, woleli łatwiejsze zwycięstwa nad Prusakami. Osiedliwszy się w ziemi chełmińskiej, zaczęli walkę, która trwała pięćdziesiąt lat i ostatecznie całe Prusy, aż po Niemen przeszły w ich posiadanie. Do zdobytego kraju sprowadzali osadników z Niemiec i Polski.



Zamek krzyżacki w Malborgu.

Lecz zdobywszy Prusy i wytępiwszy prawie do szczętu Prusaków, chciwi Krzyżacy zagarniać zaczęli ziemie polskie, które brali w zastaw od książąt, a później oddawać nie chcieli. Korzystając z zamieszek, jakie były w Polsce na początku 14-go wieku, zagarnęli zdradą Gdańsk i całe Pomorze wschodnie.

Ten kraj czysto polski, wraz z ziemią chełmińską i michałowską, nazwali również Prusami (dziś Prusy Zachodnie), chociaż tam nigdy prawdziwi Prusacy nie mieszkali.

Władysław Łokietek, oburzony na zdrajców, rozpoczął z nimi wojnę, ale chociaż pobił ich na głowę pod Płowcami, (w r. 1331), nie mógł im wydrzeć ziem podstępnie opanowanych. Pokonani Krzyżacy używali różnych wybiegów, odwoływali się do sądów Papieża i cesarza niemieckiego, łamali przyrzeczenia, nie spełniali zobowiązań, byle zagrabionych ziem nie oddać. Nie dosyć tego, wiązali się z wrogami Polski, poduszczali zdrajców, słowem postępowali jak ta żmija, którą chłop znalazł zmarzniętą i odegrzał za pazuchą, a ona później dobroczyńcę swego ukąsiła. Nie było zdrady, nie było podłości, którejby się Krzyżacy nie dopuścili względem Polski...

Gdy Litwa połączyła się z Polską, chociaż Litwini przyjęli wiarę katolicką, nie przestali Krzyżacy na ich kraj napadać. Ale nadeszła wreszcie chwila odpłaty za to nikczemne postępowanie. Król polski Władysław Jagiełło z bratem swoim stryjecznym Witołdem zebrali liczne wojsko i w walnej bitwie pod Grunwaldem w dzisiejszych Prusiech Wschodnich pobili na głowę zastępy Krzyżaków. W tej bitwie, stoczonej 15 lipca 1410 r., złamana została potęga Zakonu, kilkadziesiąt tysięcy trupów Krzyżaków i sprowadzonych z różnych krajów wojsk posiłkowych pokryło pole.

Znaczenie tej bitwy było ogromne, pierwszy raz od niepamiętnych czasów Polacy i Litwini odnieśli walne zwycięztwo nad potężną niemczyzną. Ale niestety, ze zwycięztwa tego nie skorzystali i nie starli z oblicza ziemi wiarołomnego Zakonu. Krzyżacy nieraz jeszcze potem dali się we znaki Polsce i Litwie, aż nareszcie przebrała się miara ich łotrowstwa. Mieszkańcy dzisiejszych Prus Zachodnich, zarówno Polacy, jak przybysze niemieccy, uciskani przez Krzyżaków, utworzyli tajny związek i oddali się pod opiekę króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka. Zaczęła się wojna i ciągnęła się 13 lat. Polacy zdobyli stolicę Krzyżaków Malborg i znaczną część ich posiadłości. Za wstawieniem się Papieża zgodził się król na zawarcie pokoju w Toruniu w roku 1466. Zakon zwrócił Polsce Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską, oraz część Prus z Malborgiem czyli dzisiejsze Prusy Zachodnie, które za polskich czasów nazywano królewskimi, i Warmię w Prusiech Wschodnich. Wielki mistrz czyli naczelnik Krzyżaków zobowiązał się składać hołd królowi polskiemu i słuchać go we wszystkich sprawach, jako swego zwierzchnika, za co zatrzymał resztę Prus Wschodnich z Królewcem.

Jednak i wtedy Krzyżacy nie zaprzestali zdradzieckich wybiegów i, jak mogli, szkodzili Polsce, wymawiali się od składania hołdu i t. d. Za Zygmunta Starego został wielkim mistrzem Krzyżaków siostrzeniec króla Albert z rodu margrabiów brandenburskich. Ci margrabiowie osiedlili się w ziemi słowiańskiej, polskiej, w mieście, które się nazywało Braniborem, a które oni z niemiecka przezwali Brandenburgiem, później zaś przenieśli stolicę swego państewka do Berlina, założonego na gruntach wsi Kolno.

W 15-tym wieku jeszcze w Branden

burgii ludność polska była liczną i nawet na dworze margrabiów nieraz po polsku mówiono. Władcy Brandenburgii do spółki z Krzyżakami często na Polskę zdradziecko napadali i niemiłosiernie tępili ludy słowiańskie, pokrewne Polakom, które w dawnych czasach nad Odrą i dalej na zachód aż po Elbę czyli Łabę siedziały, nawet śladu po nich nie zostało. Margrabiowie brandenburscy nasłali morderców na króla Przemysława.

Z rodu ich pochodził Albert. W tym czasie, gdy został wielkim mistrzem, szerzyć się zaczęła w Niemczech wiara luterska. Albert przyjął tę wiarę wraz z innymi Krzyżakami, złamał śluby zakonne i ożenił się, a uczynił to dlatego, żeby z posiadłości krzyżackich utworzyć księstwo dziedziczne. Słaby i dobroduszny król Zygmunt przebaczył zdrajcy i nadał mu Prusy, jako hołdownikowi Polski, chociaż wielu senatorów sprzeciwiało się temu. W roku 1525 Albert przybył do Krakowa i złożył hołd królowi na Rynku. Klęcząc, przysięgał Albert, że będzie wiernym Polsce i posłusznym królowi i podpisał zobowiązanie, że w razie gdyby jego następcy zeszli ze świata bezpotomnie, Prusy wrócą do Polski.*)

Albert mieszkańców podwładnego mu kraju zmusił do przyjęcia wiary luterskiej, w ten sposób Mazurzy, zamieszkali w Prusach Wschodnich, zostali wówczas i są do dziś dnia ewangelikami, lecz nie przestali być Polakami.

Książęta pruscy nie byli uczciwsi wobec Polski od mistrzów krzyżackich. Albert, chociaż w Krakowie hołd królowi Zygmuntowi złożył i wierność Polsce zaprzysiągł, zmawiał się później z nieprzyjaciołmi naszej Ojczyzny.

Wnuk Alberta zmarł bezpotomnie w obłąkaniu. Po jego śmierci w r. 1618 księstwo pruskie powinno było wrócić do Polski. Kraj ten wówczas jeszcze był na wpół polskim i mieszkańcy jego chcieli połączyć się z Polską. Ale nieudolny król Zygmunt III pozwolił krewnym ostatniego księcia, margrabiom brandenburskiem, że będą składali hołd Polsce. Brandenburgia połączona z Prusami stała się wkrótce niebezpieczną dla Polski. Władcy jej, zwani elektorami, zapragnęli zagarnąć Prusy Zachodnie czyli królewskie, które ich posiadłości rozdzielały.

Elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, którego Niemcy nazywają Wielkim, gdy za panowania Jana Kazimierza Szwedzi i Moskale ze zbuntowanymi Kozakami napadali na Polskę — zamiast bronić Polski, której wierność zaprzysiągł, sprzymierzył się z jej wrogami. Fryderyk Wielki namawiał już wówczas wrogów naszego narodu do podzielenia się Polską. Wprawdzie później musiał się upokorzyć, ale zwolniony został z hołdu.

Następcy Alberta i Fryderyka Wilhelma, naprzód elektorowie brandenburscy, a później królowie pruscy szli w ich ślady i w ślady Krzyżaków. Fryderyk II, zwany Wielkim, podmówił carycę moskiewską, Katarzynę II, do pierwszego rozbioru Polski w r. 1773. Poprzednio tenże Fryderyk odebrał Austryi Śląsk. Jego następcy obłowili się przy podziale Polski, a chociaż później część naszego kraju oddać musieli Rosyi, zostało im tyle, że ziemie dawniej polskie stanowią prawie połowę państwa pruskiego.

Następcy hołdowników, którzy z pokorą całowali rękę króla polskiego, panują dziś nad narodem naszym a pod ich panowaniem polakożercy odsądzają nas nawet od prawa do życia.

Pamiętajmy jednak, że „Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy."

Praojcom naszym, którzy na przysięgę księcia pruskiego w Krakowie patrzeli, nieprawdopodobnem by się wydało, gdyby im powiedziano, że... ich potomkowie nad nami będą panowali...

P.

*) Czytelnikom dajemy w dzisiejszym numerze w illustracyi albumowej reprodukcyą słynnego obrazu mistrza Jana Matejki „Hołd pruski". Chwila uwieczniona na obrazie przedstawia znany i w niniejszym artykule opisany moment dziejowy. — Przyp. Redakcyi.

Naprzód — Naprzód!

Tęskny wędrowiec życia bez brata i chaty,
Zbłąkany w rozżarzonych pustyniach Sahary,
Z sercem — jak płaszcz od wichrów potarganem w szmaty,
Darmo wzrokiem omdlałym przebijam obszary
I szukam jednej gwiazdy na czarnym błękicie.
Gwiazd niema, wszędzie ciemność, wszędzie noc złowroga,
Bluźnierczo się rozpiera w lodowym granicie,
Urąga światu, ludziom, drwi z nieba i Boga.

Noc, puszcza, ciemność, próżnia, a tu iść potrzeba!
„Naprzód, naprzód!" głos cierpki jak skrzyp szubienicy
Wciąż szarpie moją duszę. Z kąd ten głos? Czy z nieba?
Czy mię z głębi piekielnej dochodzi ciemnicy?
Darmo pytam, głos przebrzmiał, i głuche milczenie
Z ciemnością, jak dwie siostry wziąwszy się za ręce,
Gdzie się zwrócę, wraz ze mną zmieniają przestrzenie,
I ciągle urągają duszy mojej męce.

„Naprzód, naprzód!"

A ziemia z pod nóg się umyka,
I muszę wstrzymać stopę zawieszoną w próżni,
Duszę moją nicości strach na wskroś przenika,
I dusza drży od strachu, modli się i bluźni.

„Naprzód, naprzód!"

A język pragnienie mi spiekło,
I gdy wiatr z łez osuszył zagasłe źrenice,
W piersi żarem wulkanów płonie całe piekło,
W najgłębsze mego serca przenika tęsknice,
I jak pień, rzeką lawy do koła oblany
Padam z bolu, daremnie pragnąc kropli rosy.

„Naprzód, naprzód!"

Niech pierwej zgiętemi kolany
Błagalną zaszlę prośbę Panu pod niebiosy,
By choć jednym promieniem rozświecił mi drogę,
Bo ja nie wiem gdzie jestem, i w którą mam stronę
Skierować wzrok niewidny i bezsilną nogę.

„Naprzód, naprzód!"

Niech przedtem ciało me strudzone
Orzeźwi deszcz wiosenny. Wszak gdy letnim skwarem
Omdlały głos pszeniczny nagnie się ku ziemi,
To go Bóg nie dobija ukropem i żarem,
Lecz wysyła aniołów — by skrzydły swojemi
Chroniły go od słońca, i rosiły łzami.
A dla mnie czyż zabrakło litości u Boga?

„Naprzód, naprzód!"

Więc pójdę. Jakiemi szlakami
Poprowadzi mię wola przeznaczenia sroga,
Darmo pytać nie będę. Stąpać będę śmiało.
Niewstrzymają mię krzaki cierniowe i głogi!
Mężny, choć niezuchwały, dumny, choć ubogi —
Gdy z pragnienia i znoju życia mi zabraknie,
Karku przed szatanami piekła nie uchylę,
I nie zawołam: „wody! dusza moja łaknie!"
Raczej usta ku własnej rozkrwawionej żyle
Konwulsyjnie przycisnę, i ssać będę póty,
Aż powstanę wzmocniony, lub nieżywy padnę.
Nie dbam, że świat ciemności łańcuchami skuty,
Że na niebie nie błyszczą meteory żadne —
. . . .
. . . .
Gdyśmy słabi, zmuszeni błądzić w ciemniach nocy,
I walczyć z pociskami piekielnego szału —
Co mi tam, że nad głową rykną uragany,
Pioruny żmij i wężów otoczą mię kołem!
Gromami nie ulękły, burzą nie złamany,
Piersią wrzącą od żaru, nieschmurzonem czołem,
Urągać będę wichrom, śmiać się z ich niemocy,
Mniej czuły na pioruny, jak na gałki małe,
Które w młodych igraszkach wyrzucałem z procy,
W źrenicach będę skupiać ich błyski niestałe,
I wzrokiem uzbrojonym w iskry piorunowe
Rozpędzę widma nocne, nim jutrzenka młoda
Z mgły porannej podnosząc złotowłosą głowę,
Do pocałunku słońca skroń dziewiczą poda.
. . . .

O, bo ja wierzę, że jest Bóg w niebie
Wielki, wszechwładny, pełen miłości,
Bóg, co o każdej myśli potrzebie,
O każdej trosce ludzkości.

On wie, że ludzkość to kwiat wiośniany,
Który noc długa zimnem zabija,
Lecz zbyt gwałtownie słońcem ogrzany
Zanim zakwitnie — przemija.

Kiedyś, już dawno, słońce zawcześnie
Topiło ciemne pęta wszechnocy,
A kwiat wybujał i uwiądł, we śnie
Szukając życia i mocy.

I noc owładła ziemię uśpioną —
Lecz dziś z pod śniegów zimnej opony,
Kwiat znów wychyla wzruszone łono,
I znów za słońcem stęskniony.

W niebo półsennem spogląda okiem
Czekając rychło jutrzenka drżąca
Bladozłotawym zalśni obłokiem,
By światu zwieścić wschód słońca.

Więc naprzód, naprzód! kto się nie lęka
Tępić pioruny na mężnem łonie,
Naprzód! za chwilę błyśnie jutrzenka,
Ciemności — piekło pochłonie!

S. Równia.

Mandżurya i jej mieszkańcy.

(Do illustracyi.)

Jeżeli chcemy przyjrzeć się Mandżuryi, nie zatrzymujmy się w nielicznych a przeważnie brudnych miastach, gdzie życie wciśnięte jest w ramki, a więc gdzie nie możemy dojrzeć prostoty naturalnej, lecz pójdźmy w stepy. Tam



Skały Mandżuryi południowej.

uderzy nas wspaniałość widoku, jak przedstawi się oczom naszym. Wokó stepy, milczące, bezgraniczne i bezludne stepy, których zaledwie tu i owdzie dotknęła stopa ludzka! Mieszkaniec miasta porzucił naturę, uciekł od niej daleko i natura też przestała już przemawiać do jego serca; lecz kto przywykł do czytania w księdze przyrody i podziwiania jej tak różnorodnego piękna, ten z zachwytem i lubością ocknie się w tym stepie i znajdzie wokół siebie wiele rzeczy godnych zbadania.

Piękna roślinność, posiadająca wszy stkie okazy flory państwa Niebieskiego i kraju Nadamurskiego, znajduje tu swych przedstawicieli. Olbrzymia trawa, dosięgająca w niektórych miejscowościach takiej wysokości, że schować się w niej może jeździec wraz z koniem, jaskrawe wielkie kwiaty koloru pomarańczowego, delikatne dzwoneczki lazurowo-niebieskie i mnóstwo innych roślin i traw wszelkich możliwych kolorów i odcieni, układają bogaty w barwy dywan, jakiegoby najpiękniejsza fantazya nie zdołała wynaleźć nawet w bajkach Szecherezady. Tu znajdziecie i astry piękne, i niezapominajki skromne, i fijołki wonne, aromatyczne, rodedendrony wspaniałe, i rysy i nagietki pospolite, a tak swą barwą nęcące.



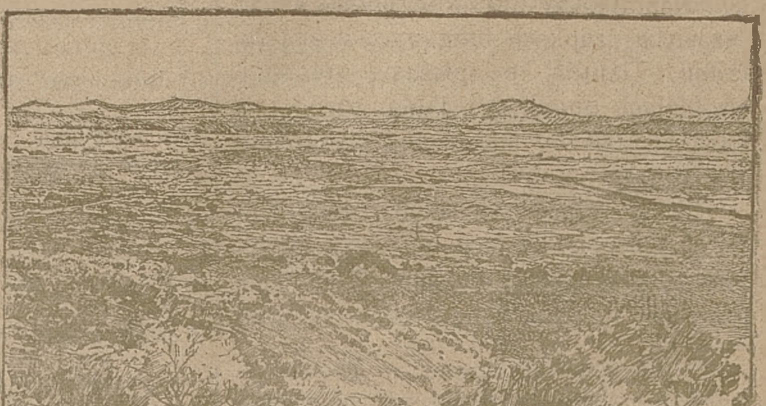
Typy Mandżurów.

Powietrze, przepełnione wonią balsamiczną, nęci tysiącem zapachów. A są one tak różnorodne, że gdybym chciał je tu wyliczyć, musiałbym przepisać cały szereg nazw kwiatów, począwszy od obficie rosnącego maku alpejskiego, aż do wstydliwej i dziewiczo-strojnej delikatnej, białej wiatrówki leśnej. A wokół te trawy okala trzcina, która kiwając swemi kiściami, hardo zdaje się spoglądać z wysokości na rozpostarty pod jej stopami cudnej piękności dywan. On stanowi piękność, a ona jest symbolem pożytku, bo idzie na podściółkę do obuwia, któremu nadaje miękkość i elastyczność.

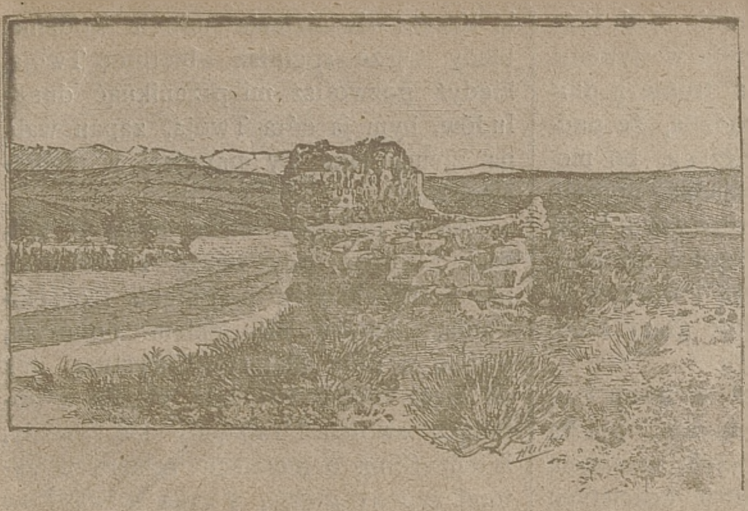
Dalej natura zmienia się powoli, roślinność staje się coraz więcej monotonną, aż za rzekami: Sungari, Lao-Che i Nonni znajdujemy już gołe wydmy piaszczyste, a za niemi groźne urwiska przypominające Szwajcaryę lub Kaukaz Na pochyłościach gór rosną gęste zarośla orzeszyny, dosięgającej tu rozmiarów niezwykłych i ciągnące się czasem na długiej przestrzeni. Dalej idą krzaki berberysu, grusz dzikich, jabłoni, abrykosów; wyżej jeszcze spotykamy sosny, modrzewie, buczynę, kalinę, klony, a wokół nich wijąca się, jakby szukająca przed burzą i huraganami obrony — winorośl dochodząca częstokroć do rozkwitu i zupełnej niemal dojrzałości. Jeszcze dalej ciągną się nieprzejrzane lasy topoli, cedrów, jesionów, wisien, śliw i dzikich jaśminów, roztaczających swój ostry i odurzający zapach. Lecz nie zawsze można tu używać spokojnie tego zapachu kwiatów i napawać się pięknością gigantycznych krzaków róż; chcąc się przedostać do tych naturalnych oranżeryi wszechświata, ominąć musimy ostre kolce drzewa „czortowego", a to nie zawsze się udaje.

Południowe stoki gór Mandżuryi pokryte są drzewem korkowem, z którego wyrabiają sprzęty i meble domowe. — Step mandżurski i owe lasy są doskonałym przytułkiem dla całych stad tygrysów, panter i lampartów, w jednej chwili gotowych rzucić się na podróżnego, któryby chciał na sekundę zapomniał mieć się na baczności. Świtę tych miłych mieszkańców lasu stanowią: świnie dzikie, niedźwiedzie bure i czarne, wilki, lisy, borsuki i pewien rodzaj, wyłącznie w Mandżuryi zamieszkałych małp. Lecz obecnie liczba tych władców pustyni i zarośli zaczyna się zmniejszać. Pod naporem siedzib ludzkich kryją się oni i ustępują coraz dalej i dalej w głąb stepów. Walka o byt i żądza zdobycia bogactw robią swoje. Przemysł, dla swych celów czysto materyalnych, niszczy wszystko bezlitośnie, uciska, tępi i zgładza z oblicza ziemi całą wspaniałość natury dziewiczej.

Obecnie już większą połowę stepów poddano kulturze i zamiast wspaniałych rododendronów i irysów, wśród pięknie uprawnych pól rośnie baolan i syn-ma (rodzaj pszenicy i konopie chińskie.) Dalej napotykamy plantacye tytoniu, daleko słynące po za granicami Mandżuryi, groch, z którego wyrabiają olej, proso i wiele innych gatunków roślin gospodarskich. Pośledni gatunek groszku, z którego Chińczycy wyrabiają wermiszel idzie na wyrób biszkoptów roz-



Step mandżurski



Z Mandżuryi: Widok okolicy nad rzeką Sungari.

puszczanych w wodzie, używanej do picia, w celu odjęcia jej niemiłej woni. Prócz tego, uprawiany tu jest jeszcze szczaw, z którego wyrabiają olej „dze ma-dze“, służą y do wyrobu świec, oraz tatarka, kukurydza, bawełna, ryż, mak i wszelkie gatunki owoców.

Kulturą maku dotychczas przeważnie zajmują się kobiety W podziw wprawić może podróżnego to, że wszędzie spotyka zamiłowanie do pracy znojnej. Bez względu na palące promienie słońca południowego, Chińczycy w swych kapelusikach w kształcie grzybów, kobiety i dzieci, nie zakładając rąk, po całych dniach pracują w polu, pozwalając sobie zaledwie czasem na chwilowy odpoczynek. Zwróćmy jeszcze uwagę i na to, że podczas tej pracy w powietrzu unoszą się miliardy owadów, drobnych, nieznośnych, z których tak zwana tam „paula“ jest najdotkliwszą; przeciska się ona przez ubranie i tnie ciało do krwi, a uchronić się od niej najtrudniej, bo nawet w nocy nie daje spokoju. Zaledwie jedne gatunki idą na spoczynek, wstają już inne i dokuczają, dając podróżnemu przedsmak piekła dantejskiego.

Jak gatunki zwierząt, tak również różnorodną jest tu ludność. Nietylko w miastach, ale i po wsiach, szczególnie w porze targowej, panuje tu istna wieża Babel odzieży, osób, plemion, kast i narzeczy.

Napotykamy tu Botegonów w śpiczastych czapkach futrzanych z nausznicami i Daurów ze spiczastą bródką w w białych opończach, i Manirów w długich, aż za kolana, chałatach, przepasanych splecionym z pasków rzemiennych i włosia końskiego pasem ze sprzączką metalową i różnego rodzaju ozdobami, stosownie do zamożności właściciela.

Oronczanie w skórach zwierzęcych drwiąco rozprawiają z Czynczotami i Ołottami o wyższości życia koczowniczego nad osiadłem, rolniczem. Oddzielnie stoją Mandżurowie i Goldzi, obdarzeni ju prawami cywilnemi i urządzeniami państwowemi, z wysoka spoglądający na plemiona koczujące. Czasem napotkać można cały szereg idących, jak stado gęsi dzikich, jeden za drugim, wspaniałych swym pogardliwym spokojem, w białych szatach Koreańczyków, przypominających starożytnych mędrców biblijnych.

Wszystkie te narody stoją na różnych stopniach kultury i różnią się pomiędzy sobą, tak językiem, jak zwyczajami i zajęciem. Manegrzy, Oronczanie. Botegoni i Soloni — wszyscy są Szamaniści, ale wówczas, gdy u Manegrów Szamankami są kobiety, u pozostałych ten rodzaj wyznania należy wyłącznie do mężczyzn. Najsypatyczniejszem plemieniem są Oronczanie. W pośród nich



Z Mandżuryi: Oronczanka z dzieckiem.

panuje prawdziwa słowiańska gościnność, a troska o ubogich i chorych zalicza się u nich do najświętszych obowiązków każdego; o kradzieży nikt u nich nie słyszy jak również o zabójstwie; złodzieje piętnowani są wzgardą ogólną. Z żalem jednak wyznać należy, że powoli i oni zaczynają iść w ślad za kulturalniejszymi Daurami, a wskutek tego owa patryarchalna czystość obyczajów niknie pod naciskiem oświeceńszych sąsiadów. *L. J.*

Pierwiosnki.

Dziewczę pierwiosnki zbierało,
Wesołe piosnki śpiewało,
A głos jej płynął po rosie,
W dalekim ginął rozgłosie.

Śpiewała o młodym maju,
Co się przechadza po gaju;
Jak zima przed nim ucieka,
A on jej grozi z daleka,
Rozrzuca jasność i kwiecie
I tak króluje na świecie.
Śpiewała o tej młodzieży,
Co się dziś bawi w żołnierzy;
Jak ją widziała po błoniu
Przelatującą na koniu,
Za czem ugania to nie wie,
Lecz dobrze życzy jej w śpiewie;
A dalej o Matce Bozkiej,
Co się zjawiła wśród wioski,
I ludek ciemny poucza,
Co mu najbardziej dokucza,
I kto dla niego jest wrogiem,
I kto odpowie przed Bogiem.
Śpiewała dalej, że z czasem
Stanie lud cały pod lasem,
I pożałuje te dziatki,
Co giną jak ścięte kwiatki,
Jako piosenki narodu
Zawcześnie zeszłe wśród lodu;
Lecz przecie śniegi roztają,
Sioła się kwieciem umają...
Kiedy tak śpiewa, z za krzaków
Wypada sotnia kozaków,
I woła oficer dziki:
„Dziewczyno! gdzie buntowniki?
Pokaż nam drogę dziewczyno,
Niech te psy marnie wyginą!“

„Bóg cię ukarze Moskalu —
Odpowie dziewczyna z żalu —
Że na krew ludzką tak chciwy
Krwią zlewasz spokojne niwy,
I martwe kładziesz pokosy
Zabitych na leśne wrzosy...
Ja nie wiem co to za jedni,
Lecz znałam w wiosce sąsiedniej
Matki okryte żałobą,
Więc ich nie zdradzę przed tobą.

Słysząc to starszy z siepaczy,
Dobył janczarki kozaczej,
I kulą posłał jej z dala
Odpowiedź godną Moskala.

A twarz dziewczyny pobladła,
U stóp leszczyny upadła,
Krwią się pierwiosnki oblały,
Na ustach piosnki skonały.

y.

Lotem myśli.

Baśń fantastyczna.

Wskroś rozbujałych lasów, co dziewiczą gęstwiną porosły ziemię w zaraniu jej istnienia, ponad splątane lijany i paprocie, których nikt wówczas o wyrocznię szczęścia jeszcze nie pytał, ponad skalne mieszkania pierwszych dziedziców tej ziemi, wzbiła się „Myśl“ świata, córa Boża.

Była jeszcze niekształtna i mglista,

skrzydła miała spętane i jakby przykute do ziemi, a wśród walki żywiołów i tworów rozglądała się nieśmiało, dokoła szukając sobie schronienia.

Ale już Stwórca widząc jej niepokój, rzekł litośnie: „Pójdź, zamieszkaj w głazach olbrzymich i w potwornych postaciach ludzkich, które dłoń ludzi, na cześć moją rzeźbi i wznosi.“

Więc zamieszkała „Myśl“ w potwornych kształtach posągów, w olbrzymich świątyniach i tajemniczych zamkach starożytnego świata. — Z biegiem czasu jednak smutek i nuda ogarniać ją zaczęły; czuła niepokój rozwijających się skrzydeł; czuła, że głazy potworne tłoczą ją i wiążą; pragnęła wcielić się w inne, powabniejsze kształty.

Porzuciła więc indyjskie świątynie i grobowce Egiptu, a przepłynąwszy błękitną mórz drożynę, zjawiła się jako biała gołębica w gajach Dodony. — Tu, u stóp Parnasu, co z czoła szron srebrny na ciche doliny i wzgórza święte otrząsa, pod rzędami rzeźbionych kolumn, objawiła się ludziom „Myśl“, córa Boża, w kształtach lekkich i cudnych, w postaciach powabnych, potęgą natchnienia opromienionych. — Otwarły się dla Niej zwoje pergaminów, zabrzmiały na cześć Jej hymny i wyrocznie. Zamieszkała więc „Myśl“ w tych kształtach pięknych i święciła w nich dni młodości i szczęścia.

Ale niebawem duch ludzki, rozmiłowany w zewnętrznem pięknie formy, upoił się niem do zbytku i w zmysłowych orgiach podeptał „Myśl, córę Bożą.“ — Więc zwróciła się ze skargą ku Stwórcy: „Oto zbrudzono szatę moją i zaparto się mnie, uwolń mnie zatem Panie z tych więzów, a daj mi szatę lotniejszą i czystszą, pozwól rozwinąć szerzej skrzydła.“ A Pan rzekł: „Weź kij pastuszy i idź tam, kędy nad Wschodem rozświecę gwiazdę złotą; zstąp do ubogiej izdebki i zamieszkaj z dzieciną, w której ja sam objawię się światu. Idź w ślady moje.“

Poszła więc „Myśl“ za śladem ubogiego Chrystusa a stanąwszy wreszcie z nim razem na szczycie Golgoty, przebyła Mękę Krzyża, od której zadrżała ziemia i zamąciły się żywioły. Ale Pan rzekł znowu: „Nie trwóż się; oto zmartwychwstaniesz po tej męce i rozwinę skrzydła twoje, a w dniu tryumfu twego, zamieszkasz w duszy ludów i dam ci panowanie nad ziemią całą, ale wprzód ukrywać się musisz w ciemnych pieczarach i lochach, wprzód zmieniać musisz z lotem wieków kształty i szaty, w których się objawiasz, zanim ludy otworzą ci ramiona, zanim skrzydłami obejmiesz świat od krańca do krańca.“

Ukryła się zatem „Myśl“ w podziemiach ciemnych i w sercach tych, co byli nieszczęśliwi i smutni. Jednakże dnia pewnego wydobyto ją w tryumfie z ukrycia i osadzono na tronie z purpury i fioletów. Myśl sądziła, że nadszedł już dzień jej zwycięztwa, bo mocarze świata hołd jej składać poczęli, lecz poznała, że śpią jeszcze snem twardym, kamiennym. — Wkrótce purpura i fiolety zaczęły jej ciężyć i tłoczyły ją tak, jak niegdyś potworne głazy i bożyszcza świątyń indyjskich.

Zstąpiła więc „Myśl“ z tronu i ubrawszy się w kaptur mniszy, poszła dumać w celach klasztornych; zamknęła się w obrazach o obliczach kościstych i złotych nad głowami obrączkach.

Na świecie tymczasem wszczęły się swary i walki; władcy świata wydzierali sobie wzajem królewskie płaszcze i berła, a krzyż Chrystusa zamienili na miecz, śmierć krwawą niosący. W imię Boże mordowano i palono na stosach, męczono i bito tłumy bezwiedne, bezmyślne. Zbudził zatem Stwórca „Myśl“, córę Swoją, z zadumy ascetycznej, w której się zasklepiła. — „Nie wolno Ci spoczywać w celach klasztornych i zbutwiałych pergaminach; bo oto umrze dusza świata z tęsknoty za Tobą, idź objaw się znów ludom w kształtach powabnych, przystępnych, by cię ludy poznały i zbliżyły się ku Tobie, byś mogła przeniknąć w ich dusze.“

Więc zamieszkała „Myśl“ znowu w obrazach o barwach cudnych, w gotyckich koronkowych wieżycach, w rapsodach natchnionych pieśni; coraz szerzej, coraz przestrzeniej było jej na świecie, skrzydła jej poruszały się coraz swobodniej, niektóre narody budziły się i wyciągały ku niej ramiona; większa część ludów jednak spała snem twardym, kamiennym, jak gdyby zaklętym.

Rzekła tedy „Myśl“ do Stwórcy: „Oto zbudzę je pieśnią wielką, wspaniałą, jak gra wichrów Twoich, przejmującą, jak łkanie oceanów, a wdzięczną, jak śpiew wolnych Twych ptaków.“

I zadźwięczała pieśń wielka, pieśń swobody nad śpiącymi ludami, a na odgłos jej dreszcz przebiegł pierś świata; tu i owdzie zerwały się ze snu tysiące, ale miliony spały jeszcze dalej snem bezwiednym. — Poznała „Myśl“,“ że nad snem ich czuwa olbrzymi potworny Sfinx, o piersiach, okutych w żelazo, o bokach, najeżonych w działa spiżowe i mordercze bagnety; potężnemi łapami obejmował krąg ziemi, a strzegąc nieruchomego snu ludów, zatapiał głęboko szpony w ich ciała, zdrętwiałe z bólu. Pieśń swobody odbijała się jękiem o pierś jego żelazną i skrzydła lotne „Myśli“ gięły się pod tchnieniem paszcz spiżowych.

Zwróciła się więc znowu „Myśl“ ze skargą ku Stwórcy: „Panie, oto od męki Krzyża dwudziesta minęła godzina, kiedy Ojcze spełnisz obietnicę Twoją, kiedyż pozwolisz mi przeniknąć duszę ludów, bym ja córa Twoja, zapanowała na ziemi, jako Ty panujesz w niebiesiech?...

Ale w błękitach cisza była; — milczał Stwórca, gdy dusze zbudzonych ludów usychały z pragnienia i oczekiwania, skarżąc się jękiem ponurym, a jako w dniu śmierci Chrystusa, tak od męki ludów zadrżała ziemia w posadach swoich i zamąciły się żywioły. Wtedy Sfinx o piersiach żelaznych zatopił szpony głębiej w ciała skrwawione narodów, brzękiem bagnetów przytłumił jęki i zamruczał gniewnie:

„Nie czas jeszcze — nie czas!“

Anna Neumanowa.

Złote serca.

Sprowadzili się do naszej kamienicy na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcye, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzał z takim podziwem, jak podróżnik na Tatry Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem go nawet o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego, przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

— No, już dość będzie, połóż się spać.

— A ty kiedy pójdziesz spać?

— Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściegów...

— No, to i ja napiszę parę wierszy.

Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po niejakim czasie pani mówiła:

— Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar, wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydcy, wogóle spokojni. Ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedziela, około południa, wychodzili na spacer, trzymając się pod ręce, i wracali do domu późnym wieczorem. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz, spotkałem ich przy bramie, oddzielającej ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przytem spokojne fizyognomie mieszczan, którzy zwykli

jadąc przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

Wogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, jak się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, dostał jednocześnie tak silnego krwiotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią, przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne przedewszystkim ją uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę, i idąc tłomaczył, że krwiotok jeszcze niczego nie dowodzi.

— Krwiotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrów, nigdy nie kaszlał...

— O, tylko czasami! — szepnęła pani, zatrzymując się dla nabrania tchu.

— Czasami to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

— Tak... to katar! — powtórzyła pani, już głośno.

— Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

— Owszem!... — odparła pani, znowu stając.

Trochę się nogi pod nią chwiały.

— Tak, ale zapewne już dawno!... — pochwycił lekarz.

— O, bardzo... bardzo dawno!... — potwierdziła z pośpiechem — jeszcze tamtej zimy.

— Półtora roku temu.

— Nie... Ale jeszcze przed nowym rokiem... O, już dawno!

— A!... jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonione... — mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słychać? — i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu, stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słychać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybadał i także powiedział, że to nic.

— Ja zaraz mówiłem, że to nic! — odezwał się chory.

— O, nic!... — powtórzyła pani, ściskając jego spotniałe ręce. — Wiem przecie, że krwiotok może być z żołądka, albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?

Tak! tak!... Ruch jest wogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może pojechać na wieś?

— Nie może... — szepnęła pani ze smutkiem.

— No, to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby zaś się krwiotok powtórzył... — dodał lekarz.

— To co, panie? — spytała żona, blednąc jak wosk.

— No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

— Tam... w nosie? — mówiła pani składając przed doktorem ręce.

— Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, którą przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

— No, i cóż to tak wielkiego! — rzekła, trochę śmiejąc się a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po ręku.

— Cóż tak wielkiego! — powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. — Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrów!...

— Już tylko nic nie mów — prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tem mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić kiedyby mu się podobało i — jeśliby znalazł miejsce. Ponieważ, gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcyi na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynce, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

— Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu jakby spłakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

— Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

— Co ty mówisz? — rzekła. — Skąd ci takie myśli?...

Chory wpadł w gniew.

Oo, chodź-że tu do mnie, o tu!... — mówił gwałtownie, chwytając ją za ręce. — Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptałby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszły.

— Doktor mówił, — odparła — że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drżeć i śmiać się, a potem machając ręką rzekł:

— No, widzisz, jakim ja nerwowy!.. Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecież najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest zły.

Bo i z jakiej racyi miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale — to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew — z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko — taki stan nerwowy.

Wogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz — sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół. Pewnego dnia, kładąc kamizelkę, uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

— Czybym aż tak schudł?... — szepnął.

— No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć — odparła żona. — Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest znów

tak bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach września nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

— To głupstwo! — mówił chory — Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdraźnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszność.

Chory codzień wstawał z łóżka i ubierał się, chociaż bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

— Dziwić się tu, — mówił nieraz, patrząc w lustro, — dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

— No, twarz zawsze się łatwo zmienia — wtrąciła żona.

— Prawda, tylko, że ja i w sobie chudnę...

— Czy ci się nie zdaje? — spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

— Ha! może i masz racyę... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

— Dajże pokój! — przerwała pani — przecież nie utyłeś...

— Kto wie? Bo, jak uważam po kamizelce, to...

— W takim razie powinnyby ci wracać siły.

— Oho! chciałabyś tak zaraz. Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy nie zaraz nabiorę sił..-

— A co ty tam robisz za szafą?... — spytał nagle.

— Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

— Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

— No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o — tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcyi, powitał ją z błyszczącemi oczyma i rzekł, bardzo wzruszony:

— Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, codzień sam ściągałem pasek, i dlatego — kamizelka była ciasna... Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja, dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej... No, teraz i ja wierzę, że będę zdrów... Ja sam!... Niech doktor myśli co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągania pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale, jak w fotelu, oparł się w objęciach żony.

— No, no!... — szeptał, — ktoby się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!... No... no!...

I przesiedzieli, tuląc się jedno do drugiego, cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

— Mój Boże! — szeptał, całując żonę po ręku — a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwóch miesięcy, dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrów. Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka — ta już nie skłamie!...

. . . .

Dziś, patrząc na starą kamizelkę, widzę, że nad ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan — codzień posuwał sprzążkę, ażeby uspokoić żonę, a pani codzień — skracała pasek, ażeby mężowi dodać otuchy.

Czy znowu zejdą się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?...

D. M.

Przygody.

I.

Głos jej przycichnął, zamilkły klawisze,
Pieśń na mgłach płynie przez otwarte okno;
Słowiki za nią lecą w bzów zacisze,
W rosie motyle zasłuchane mokną,
Marzące róże słodki sen kołysze.

— Czemu w twej pieśni cudnej smutku [tyle? —
Spytałem, słowa mięszając ze łzami.
I utraciwszy przytomność na chwilę,
Po jej odpowiedź sięgnąłem ustami —
I przebudziłem... róże i motyle.

II.

Siedziała przed zwierciadłem w rannym [stroju,
Warkoczem złotym okalając głowę.
Konwalii miała białość, ruch powoju,
A dzień był mroźny i słońce zimowe
Wbiegało oknem ogrzać się w pokoju.

Rozmawialiśmy... Wiatr wył na ulicy,
Promienie słońca biły od zwierciadła. —
Nagle wiatr wyrwał hak od okiennicy,
I wraz noc czarna w pokoju osiadła,
I okryła nas skrzydłem tajemnicy...

III.

...Wreszcie nie mogłem już znieść roz- [łączenia!
Więc raz pod okno jej podchodzę nocą.
Cicho — po klombach słychać róż west- [chnienia,
Pusto — motyle śród liści się złocą,
Ciemno — w jej oknie drżą gromnic [spojrzenia...

W ciszy tej, w pustce, w ciemności, w ża- [łobie,
Wiatr jęknął za mną, że jej niezobaczę!
A ja widzę ją co dzień, w nocnej dobie,
I rozmawiam z nią, i przy pieśni płaczę,
I płaczą ze mną astry na jej grobie...

Ludwik Brzozowski.

MYSLI WIKTORA HUGO.

Rozum jest małżonką, wyobraźnia kochanką, pamięć sługą.

* * *

Uczeni wchodzą na szczyty po stopniach drabiny, poeci i artyści są ptakami.

* * *

Duma jest lwem, samolubstwo tygrysem, próżność kotem.

* * *

Ludzie źli są zawistni i nienawidzą; jest to ich sposób podziwu.

* * *

Cnota ma zasłonę, występek — maskę.

* * *

Piszę jedną ręką tylko, ale pracuję obu.

* * *

Kto nie umie być ubogim, nie potrafi być wolnym.

* * *

Bezczynność jest szczęściem dzieci, a niedolą staryów.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

12) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Gorące łzy spływały po twarzy Diany, Karol wzruszony, ujął ją znów w objęcia i przycisnął mocno do serca.

— Jedźmy teraz, rzekł, nie ostatnia to nasza rozmowa!

Oboje zajęli miejsce w pojeździe, Szczepan zaciął konie i pojechali.

Księżyc z za chmury ciekawie patrzał na dwoje zakochanych, a nieszczęśliwych i widział jak usta ich złączyły się w długim pocałunku!

Był to pocałunek pożegnalny — może na wieki!

* * *

Znajomi księżnej Bassano w Petersburgu i we Wiedniu nie mogli się dosyć wydziwić, gdy po kilku tygodniach rozeszła się wieść, że piękna Diana opuściła męża. Najrozmaitsze z tego powodu powstały plotki, a jedna była mniej prawdopodobną, niż druga. Sam tylko książę znał prawdę.

Diana nie zabrała z sobą ani jednej sukni, którą jej mąż kupił, ani klejnotów — zgoła niczego. Wyszła z domu księcia w tej samej sukni, w jakiej przed kilku laty ją poznał.

Z służbą pożegnała się bardzo serdecznie.

— Nie płaczcie, rzekła. Ja teraz służby potrzebować nie będę. Zachowajcie mnie w dobrej pamięci.

ROZDZIAŁ XXVI.

Więzienie w Osternie.

Podczas kiedy Ramiro uciekał z pola walki z żołnierzami, bawiła Felicya w chacie starej Marty cyganki.

Siedząc przy nędznem łóżku, usłanem z siana, trzymała rękę Józefiny, i patrzała z niezmiernem zadowoleniem, jak młoda kobieta szybko wracała do sił i zdrowia.

Marta była istotnie doskonałym doktorem.

Józefina oddawna nie czuła się tak szczęśliwą, jak teraz, w tej nawpół zapadłej chacie.

— Zdaje mi się zawsze jeszcze, mówiła, że to sen! Jakże Bóg dobrym jest, że zaprowadził mnie do ciebie, droga Felicyo! Jakże mu wdzięczną za to jestem! Nigdzie nie mam domu, nikt się mną nie opiekuje, a ten, którego kocham i który ma obowiązki względem mnie, postępuje tak dziwnie, że nie wiem, co o tem myśleć!

— Uspokój się, prosiła Felicya serdecznie, wzruszenie mogłoby ci zaszkodzić. Obecnie zostaniesz tu u Marty, a potem uradzimy o twej przyszłości. Jakże żałuję, że nie mogę cię zatrzymać w zamku! Ale mój mąż nie chciałby o tem wcale słuchać. Nie może on ci darować, że wówczas na okręcie, ujęłaś się tak jawnie za Maksymilianem....

— Przecież to mój mąż! Nie mogłam postąpić inaczej.

— Tak, ale Ramiro rozgniewał się o to! Nie wiedział on też nic o tem, że sprowadziłam cię do Petersburga, i gdyby się dowiedział teraz, że jesteś tutaj....

— Nigdy! Nie chodzi mi o mnie, tylko o ciebie, Felicyo! Ach, jak ja cię nieraz żałuję, że jesteś zmuszoną żyć z tym człowiekiem, bo powiem ci teraz otwarcie, że on nie ma ani dobrego serca, ani czystego sumienia. On ma jakąś tajemnicę, którą starannie przed ludźmi, nawet przed tobą— ukrywa!

— Cóżby to być mogło?

— Nie wiem, ale odnosi się to pewnie do jego przeszłości.

— Mylisz się. Jeżeli on tajemnicę jaką ukrywa, to tylko — przez wzgląd — na mnie. Ale ja ci tego powiedzieć nie mogę. Może on jest szorstki i gwałtowny, dla mnie jednak zawsze był dobrym i wyrozumiałym.

Felicya miała znowu na myśli nieszczęsną kradzież brylantów, o którą ją posądzano.

— Więc myślisz, że on cię kocha? rzekła Józefina.

— Bardzo, i strasznie jest przytem zazdrosnym. Najchętniej zamknąłby mnie w domu i nie pozwolił nigdzie wychodzić i nikogo nie widywać.

— Czujesz się szczęśliwą Felicyo?

— Któż może powiedzieć, że jest szczęśliwym? Wiesz, że kochałam niegdyś innego, ale on mnie nie kochał — — zwalczyłam moją miłość i myślę teraz o Maksymilianie, jak o przyjacielu. Ty jesteś jego żoną, on kocha cię bardzo — i kiedyś....

— Ach, przerwała Józefina, jestem jego żoną, a jednak na wieki z nim rozłączoną.

Teraz weszła cyganka do izby.

— Zimna noc i ciemna, rzekła, stósowna dla złodziei.

— Ja myślę, że w Osternie złodziei nie ma, zawołała Felicya z uśmiechem.

— Oho, kto to powiedział? odparła stara cyganka szyderczo. Więcej ich tu, niż potrzeba. Nie okradają oni ludzi, to prawda, ale okradają całe państwo. Dziś właśnie są przy robocie, a główniejszy złodziej prowadzi ich przez manowce.

— Ach, rozumiem. Mówisz o przemytnikach, nieprawdaż?

— Naturalnie, w każdej chacie mieszka przemytnik. Wesołe czasy nastały od chwili, w której ten łotr przybył do Osterny, Zna on swoje rzemiosło.

— Kto to jest? zapytała Felicya.

— Nie znasz go, piękna pani? Nie znasz go, doprawdy? odpowiedziała Marta, patrząc na Felicyą z litością i zdumieniem. Nie znasz Baszy?

— Ja? Zkądże bym ja go znać miała. We dnie z zamku nie wychodzę, a w nocy odwiedzam chorych.

— W takim razie strzeż się, abyś mu raz w ręce nie wpadła. Ale możebyś go nawet nie poznała. Jest on doskonale zamaskowany!

— Jak się nazywa ten człowiek?

— Basza! Ma on naturalnie w rzeczywistości inne nazwisko, ale — nie, nie! Więcej już nie powiem! Mówiąc to, wyszła znowu z chaty i wolno zbliżała się do wsi.

— Niech jej kto inny powie, że mąż jej jest łotrem. myślała, ja nie myślę zakłócać spokoju tej niewinnej duszy. Ale cóż to? Jedzie ktoś — sanki — któż tak późno przybywa do wsi?

I szybko skryła się za drzewem.

Emilii Stubel i Maksymiliana nie znała, konie i woźnica nie byli także z tej okolicy, ale poznała Rozdzina i to wielce ją zdziwiło.

— To coś znaczy, pomyślała, trzeba uważać.

Cicho, jak duch pobiegła za sankami do karczmy, czekała cierpliwie aż Maksymilian i Rozdzin poszli do zamku, i niepostrzeżona, szła za nimi, ukrywając się za drzewami.

Rozdzin oglądał się bacznie na wszystkie strony, ale nie zobaczył nikogo.

Gdy się zbliżał do zamku, weszła Marta za stos cegieł, leżących tuż pod oknami pokoju hrabiego i widziała, że Rozdzin wprowadził nieznajomego małemi drzwiczkami ogrodowemi do zamku.

Kilka minut później zdawało jej się, że w zamku wołał ktoś o pomoc....

Zaraz potem wyszedł Rozdzin — i spokojnie zapalił fajkę.

Marta wysunęła się z swej kryjówki.

— Co się stało z nieznajomym? pytała się w duszy. Mam takie przeczucie, że tam popełniono zbrodnią...

I zamyślona wróciła do chaty.

Maksymilian tymczasem zastósował się zupełnie do rad fałszywego Ramira. Przybywszy do Osterny, kazał dać w karczmie najlepszy pokój Emilii, a potem udał się z Rozdzinem do zamku, aby prosić hrabiego o sanie. Nie wątpił on ani na chwilę, że otrzyma wszystko, o co prosić będzie.

— Czy daleko do zamku? zapytał Rozdzina.

— Pójdziemy dwadzieścia minut najwyżej.

— Wspaniały gmach! ale ponury i ciemny, ja wolałbym mniejszy pałac, ale jasny i modny. Czy hrabia żonaty?

— Tak, ma młodą i bardzo piękną żonę!

— Dziwię się, że ona mieszka w takim starym zamku. Pewnie i tu znajdują się podziemne ganki, więzienia....

— Może być, nie wiem! odrzekł Rozdzin z złośliwym uśmiechem.

Resztę drogi odbyli w milczeniu.

— Wejdźmy tędy, odezwał się teraz Rozdzin, gdy stanęli przed furtką ogrodową.

Maksymilian niedomyślając się niczego złego wszedł pierwszy i zwrócił się zaraz ku krętym schodom, które mu towarzysz jego wskazał.

— Wejdź pod do tego pokoju, a ja pójdę obudzić kamerdynera hrabiego. Nie potrwa to długo.

Rozdzin otworzył drzwi. Maksymilian przestąpił próg i równocześnie uczuł się tak silnie popchniętym, że upadł. Z trzaskiem zamknęły się ciężkie drzwi za nim.

Teraz dopiero poznał, że wpadł w zasadzkę i szalony gniew ogarnął go na tę myśl. Ciemno było tu jak w miechu, chodził więc z wyciągniętemi rękami, szukając jakich drzwi lub okna, ale wszędzie napotykał tylko gładką ścianę.

Na szczęście przypomniał sobie, że ma zapałki w kieszeni, ale przy słabem ich świetle zobaczył, że ściany są z kamieni, a drzwi, któremi wszedł, żelazną płytą zamknięte na zewnątrz.

Oprócz jednej kanapy nie było tu żadnych mebli. Na tę kanapę usiadł teraz Maksymilian i starał się zebrać myśli i rozważyć swoje położenie.

O wyłamaniu się przemocą z tego więzienia nie mogło być mowy, okien nie było wcale, ale kto go tu mógł zwabić? Komu zależało na jego śmierci lub uwięzieniu? Nie byli to zapewne zwyczajni złodzieje, pragnący okraść jego kieszenie — tacy nie mieszkają w zamkach, więc kto był jego nieprzyjacielem?

Dwa lata pokuty minęły — trzy jeszcze, a będzie mu wolno połączyć się z Józefiną — ale czy zobaczy ją w życiu raz jeszcze? Ach, w tem więzieniu czeka go pewnie śmierć.

Najdziwniejsze myśli cisnęły mu się do głowy, smutne, rozpaczliwe, a pomiędzy niemi powtarzał sobie zawsze pytanie: kto pragnie jego śmierci?

Nagle zajaśniało blade światełko i Maksymilian zdumiony, podniósł głowę.

Wpadało ono do celi tej przez mały otwór w żelaznych drzwiach — teraz ukazała się tam twarz, wykrzywiona okropnym uśmiechem i — Maksymilian poznał tego, który go usiłował zamordować na Jaskółce.

— Widzimy się nareszcie, panie baronie, odezwał się Ramiro szyderczo. Cieszy mnie to bardzo!

— Mnie zaś wcale nie, odrzekł Maksymilian dumnie. W jakim celu zwabiłeś pan mnie tutaj? Wiem, że znajduję się w domu zbrodniarza?

— Słusznie, jestem zbrodniarzem, sam to przyznaję! Powiem panu też zaraz dlaczego jeden z nas zbyteczny jest na świecie!

— Słucham!

— Jest pewna kobieta, którą kocham nad życie, dla której popełniłbym zbrodnią....

— Nie pierwszą, jak sądzę....

— Tak jest, nie pierwszą. W Brazylii żgnąłem w serce jednego z moich znajomych dlatego, że mi się sprzeciwiał w wykonaniu pewnego zamiaru — no, mniejsze o to. Pan znasz kobietę, którą kocham, jest to hrabianka Felicya Szalenburg, hrabina Barin, moja żona! Ale ona zawsze jeszcze kocha pana, wspomnienie tej miłości nie może wygasnąć w jej sercu, i ma zawsze nadzieję ujrzenia ciebie! Miłość ta zbudziłaby się w sercu jej z nową potęgą, gdyby cię zobaczyła, i tego ja właśnie nie chcę! Musisz umrzeć! Jesteś w mojej mocy! W tym starym zamku są podziemne sklepy, więzienia — a kto raz tam zajdzie, ten już nie wyjdzie nigdy! Krzyku jego nie usłyszy nikt w świecie! Niejeden zakończył tam życie — i ciebie czeka ten sam los!

— A nie wiesz, że jest Bóg, który cię ukarze — zawołał Maksymilian.

Był on odważnym, pomimo to drżał z przerażenia na myśl okropnej, głodowej śmierci.

Szyderczy śmiech Ramira był całą odpowiedzią.

Teraz uczuł Maksymilian, że podłoga zaczyna się usuwać z pod jego nóg, i mimowoli rzucił się na kanapę. Ale i ta zaczęła się poruszać.

— Felicya nie ujrzy cię już nigdy! — krzyknął Ramiro.

Kanapa spuszczała się z Maksymilianem zwolna w otchłań, ciemną, zimną i wilgotną. Grobowe powietrze zawiało z dołu tak, że trudno było tu oddychać.

Jak długo podróż ta trwała, tego Maksymilian nie wiedział. Zdawało mu się, że przebywa z jakie dwadzieścia pięter — nagle kanapa zatrzymała się, a wstrząśnienie było tak silne, że Maksymilian spadł i stracił przytomność.

Gdy się z długiego zemdlenia obudził, poznał, że jest w ciemnym sklepie, w którym woda zimna sięgała mu aż do kostek. W niezmiernej wysokości nad nim, musiał się znajdować mały otwór, przez który wpadał słaby promień księżyca.

Liczne szczury zamieszkiwały podziemie i zbliżały się ciekawe i śmiałe do Maksymiliana, wskakując nawet na niego. To było najokropniejsze!

— Żywcem pogrzebany! — jęknął nieszczęśliwy. — O Józefino, teraz jesteś doprawdy wdową!

I gorące łzy płynęły z jego oczu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Sagunia.

Józefina była teraz już zupełnie zdrową. Nazajutrz po bytności Józefiny mogła wstać, i odzyskała wkrótce dawne siły i dawne rumieńce.

Chciała właściwie przed kilku dniami już opuścić gościnną chatę i jechać do Wiednia, ale stara Marta pokochała ją serdecznie i prosiła, aby jeszcze u niej pozostała.

— Od wielu lat — rzekła, — jesteś pierwszą osobą, którą proszę, aby mi dotrzymała towarzystwa. Jestem przyzwyczajoną do samotności, i tak też najlepiej... ale ty mi się podobasz, i dlatego proszę cię, zostań jeszcze u mnie!

Józefina zgodziła się na to. Pragnęła zobaczyć też jeszcze raz Felicyą, ale dziwna rzecz! Od owej nocy nie odwiedziła Felicya ani razu swej przyjaciółki.

Na prośby Józefiny poszła Marta do zamku, tam jednak zobaczył ją sam hrabia i zagroził, że każe ją z podwórza psami wyszczuć, jeżeli natychmiast nie odejdzie! Marta rozśmiała się wprawdzie, ale celu nie osiągnęła — bo Felicyi ani nawet zdaleka nie ujrzała!

Trzy dni minęły od nieszczęśliwej walki przemytników z żołnierzami. W każdej nieomal chacie w Osternie opłakiwano śmierć ojca, brata lub męża, a uwielbienie, okazywane dotąd Baszy, znacznie się zmniejszyło. Niektórzy czynili go wręcz odpowiedzialnym za całe nieszczęście, a inni jeszcze twierdzili, że zaprowadził ich umyślnie w zasadzkę. Pogłoskę tę rozszerzał głównie Rozdzin. Czemu on to czynił, tego nikt nie wiedział, ale był to człowiek tak sprytny i przebiegły, że nie wymówił on jednego słowa za wiele lub za mało.

Marta słuchała, wypytywała o wszystko i zwracała na najmniejszą drobnostkę baczną uwagę.

Trzeciego dnia siedziała wieczorem z Józefiną w ciepłej izbie, podczas kiedy na dworze padał gęsty śnieg, tworząc prawdziwy mur dokoła chaty.

Marta długo milczała. W końcu spojrzała dziwnie na Józefinę i rzekła wolno:

— Gdy odejdziesz stąd, to zabierzesz może z sobą twoją przyjaciółkę!

— Felicyą?

— Tak, hrabinę Barin! Haha! Wkrótce dziwne się tu rzeczy dziać będą! Gdyby księżyc mógł opowiadać o tem, na co patrzy co noc — to niektórzy ludzie bardzo by się dziwili!

— O kim to mówicie? — zapytała Józefina.

— O człowieku, którego nienawidzę, — brzmiała cicha odpowiedź cyganki.

— Późno już — odezwała się teraz Józefina. — Czas na spoczynek....

— Połóż się moje dziecko i śpij! Może we śnie zobaczysz tych, których kochasz! Ja będę śnić o tych, którym wszystko złe życzę! Ach, gdybym mogła....

— Marto, — przerwała Józefina łagodnie, — nie wymawiajcie takich okropnych słów! Wiem, że macie dobre i litościwe serce, mnie okazaliście tyle serdeczności, czemu więc jesteście dla innych tak okrutni?

— Byłoby może dla ciebie lepiej, abyś była umarła z zimna i głodu, — rzekła cyganka ponuro. — Śmierć, to jeszcze najlepsze, co człowieka spotkać może!

— Musieliście ciężkie pewnie przechodzić doświadczenia w życiu! Może to ulży waszemu sercu, jeżeli mi powierzycie wasze troski i cierpienia. Może zdołam was pocieszyć!

— Słyszałaś, — szepnęła cyganka, nie zważając na te słowa, — o drzewie, którego korzenie toczy robak? I drzewo usycha w końcu! Takiem drzewem jestem ja. Ale zanim umrę, rozdepnę robaka! Idźmy spać!

Józefina wstała natychmiast i zaczęła się rozbierać. Ale zaledwie rozpięła warkocze, podniosła cyganka głowę i zawołała:

— Ko tam? Kto pukał do okna?

— Ja nic nie słyszałam, — szepnęła Józefina przestraszona.

Ale teraz dało się rzeczywiście słyszeć pukanie.

— To ona! Poznałabym pukanie jej pomiędzy milionem, — krzyknęła cyganka, a oczy jej zabłysły radością. — Wróciła, wróciła nareszcie!

— Otwórz, babko, — zawołał cichy głos kobiecy za oknem. — Jestem zmęczona! Chcę być w domu!

— Sagunta! Moja Sagunta!

Stara cyganka otwierała drzwi, a ręce jej drżały tak silnie, że ledwie zdołała rygiel odsunąć. Zaraz potem weszła do izby śliczna, młoda dziewczyna, i z okrzykiem radości rzuciła się w objęcia Marty.

— Wiedziałam, że wrócisz, — mówiła stara cyganka, — ale powiedz, co cię tu sprowadziło? Pewnie tęsknota za babką nie była powodem twego powrotu... Dobrowolnie nie przyszłabyś do wsi, w której cię tyle przyszłości spotkało.....

— Gdzie on jest, babko? — pytała Sagunta gorączkowo. — Czy przwda, że posłano go na Sybir? Słyszałam o tem na stepach węgierskich od innych cyganów!

Marta milczała.

— Powiedz mi prawdę, babko, — nalegała dziewczyna, — ja chcę wszystko wiedzieć! Kto go zdradził? A któż to jest? — dodała, spostrzegłszy teraz dopiero Józefinę.

— Możesz jej zaufać, — odrzekła cyganka. — Przypadek sprowadził ją do mej chaty — podajcie sobie ręce i bądźcie sobie przyjaciółkami!

Józefina wyciągnęła szybko rękę i ścisnęła serdecznie dłoń cyganki.

— Jak one do siebie podobne, — szepnęła. — Jak siostry! Siostry! Ale to nie może być! Niepodobno!

Sagunta usiadła przed kominkiem a Marta przyniosła jej trochę chleba, sera i kawy.

— Posłano go na Sybir? — zapytała po chwili.

— Nie wiem!

— Ale uwięziono go?

— Tak!

— Kiedy?

— Mniej więcej przed sześciu miesiącami. Co się z nim stało, Bóg wie! Ludzie mówią, że wysłano go na Sybir i pewnie też tak będzie, bo wszelkie moje poszukiwania były daremne.

— Ach, łotry! Nędzniki! I ja go nigdy nie zobaczę! Zabiją go!

— Wychodził ztąd z twojem imieniem na ustach, — szepnęła Marta po chwili milczenia. — Rozmawiałam z nim tej nocy, której go zabrano. Zanim wóz zajechał, wrzucono go do podziemnego sklepu, a ja zdołałam kilka słów z nim zamienić przez okienko.... — Jestem zgubiony, — zawołał. — Poślą mnie na Sybir, i tam umrę nędznie.

Powiedz Saguncie, że kochałem ją zawsze i że kochać ją będę aż do ostatniej mojej chwili!

Młoda cyganka oparła głowę na rękach i głośnym wybuchnęła płaczem.

— I nie usiłowałaś go ratować? — szepnęła, patrząc z wyrzutem na babkę.

— Nie mogłam!

— A tajny ganek?

— Ach wiesz przecież, że przysięgłam uroczyście, że nigdy tam nie pójdę! Zdawałoby mi się na każdym kroku, że widzę martwe ciało — twej matki! Nigdy! Za nic w świecie nie poszłabym tam!

— Ale byłabyś go jednak ocaliła! O babko, czy nie możesz zapomnieć tego, co się wówczas stało?

— Nie! Ale nie byłabym go mogła uratować, bo chwila, którą stałam przy oknie, była zbyt krótką. Czterech kozaków pilnowało wejścia do ganku.

— To prawda. Ale ja wydarłabym go stu kozakom....

— Połóż się teraz dziecko drogie i odpocznij, — rzekła Marta łagodnie. — Jesteś pewnie bardzo zmęczona.

Sagunta położyła się i usnęła wkrótce, Marta zaś zwróciła się do Józefiny.

— Widziałaś nasze łzy, — zaczęła poważnie, — byłaś świadkiem naszego smutku, masz więc prawo żądać wyjaśnienia. Opowiem ci naszą całą historyą, wiem, że odczujesz wszystko i pojmiesz nasze troski.

— Domyślam się, — odpowiedzi ła Józefina, — że Sagunta ciężką poniosła stratę. Posłano ukochanego jej na Sybir....

— Mylisz się! Nie płacze ona ani kochanka, ani męża, tylko — brata!

— Ależ ja byłam pewna, — zawołała Józefina zdumiona, — że tu była mowa o właścicielu zamku Osterno! Wszakże powiadaliście mi raz, że dawniejszy dziedzic wysłany został na Sybir. Więc jakże on ma być bratem Sagunty?

— A jednak tak jest! Dawniejszy dziedzic zamku Osterno i Sagunta, cyganka, to rodzeństwo. Są to wnuki starej czarownicy, Marty cyganki, i to właśnie pokrewieństwo jest powodem tajemnicy, która tyle nieszczęść na nas sprowadziła! Na nas i na innych! Słuchaj, opowiem ci teraz wszystko!

ROZDZIAŁ XXVIII.

Tajemnica Osterna.

— Przed dwudziestu laty mniej więcej, przybyła tu do wsi banda cyganów. Szliśmy z Węgier — lato było ciepłe i piękne, i postanowiliśmy pozostać tu kilka dni. Ja byłam żoną najstarszego dowódzcy, i miałam jedną córkę. Jaka to piękna była dziewczyna! Oczy, jak czarne dyamenty, postać, jak topolka, wysmukła i giętka, a włosy, usta, płeć — ach, nic nie mogło się równać z jej urodą! Była ona wiele piękniejszą, niż Sagunta! Tego dnia właśnie, kiedy przybyliśmy tudotąd, panował we wsi ruch niezwykły, w zamku bowiem obchodzono zaręczyny młodego dziedzica, który na życzenie matki żenił się z jakąś młodą dziewczyną z sąsiedztwa. Dziedzicem był hrabia Borys Lanowicz, młody, piękny i dla wszystkich uprzejmy. Ludzie we wsi uwielbiali go, był dla nich dobry i sprawiedliwy i czynił wszystko, co mógł, aby polepszyć ich byt. To też radość panowała dnia tego wielka, a jednym, który nie cieszył się wcale — był hrabia Borys. Nie kochał on tej, z którą mu matka zaręczyć się kazała. Gdy się rozeszła wieść, że cyganie przyszli, zawołano nas wszystkich przed zamek i kazano grać do tańca. Było u nas kilka ładnych, młodych kobiet i dziewcząt, panowie z zamku tańczyli z niemi i tak bawiono się ochoczo w późną noc. Ja stałam z początku z Esmeraldą, moją córką, na boku, bo jako żonie i córce dowódzcy nie wypadało nam mięszać się z wszystkimi. Nagle zbliżył się do nas dziedzic, i spojrzał przenikliwie na Esmeraldę. — Tańcz ze mną, — rzekł krótko. Zadrżałam, i przeczucie nieszczęścia ścisnęło mi serce. — Idźmy do namiotu, — szepnęłam, — pójdź, moje dziecko!

Ale Esmeralda nie zważała już na mnie.

— Nie mogę, matko, — odrzekła, — nie mogę. On chce tańczyć ze mną! Pozwól mi raz tylko być szczęśliwą!

Stara hrabina i narzeczona hrabiego spojrzały na siebie i zbladły, a ja stałam, jak skamieniała. Hrabia i Esmeralda tańczyli długo — długo — jak gdyby wcale przestać nie chcieli, muzyka grała wesoło, a mnie się zdawało, że słyszę dzwony pogrzebowe! Ale piękna to była para! On wysoki, jasnowłosy, ona wysmukła, o kruczych kędziorach, oboje młodzi i — jak na pierwszy rzut oka poznałam zakochani! Ach, miłość ich powstała szybko, jak błyskawica, jak grom z nieba.... Po skończonym tańcu uścisnął jej rękę i szepnął: — zobaczymy się wkrótce.

Kilka minut później wracałam z Esmeraldą do namiotów. Szła obok mnie milcząca, zamyślona, ale dziwnie promienna.... Ja chciałam zaraz na drugi dzień opuścić Osternę, ale papiery nasze nie były w porządku. Dzień mijał za dniem i nareszcie, po trzech tygodniach pozwolono nam jechać dalej. W czasie naszego pobytu tutaj poznałam też bliżej tego łotra Rozdzina.... Był on niby powiernikiem młodego hrabiego, a w rzeczywistości szpiegiem starej hrabiny, której wiernie donosił o każdym kroku syna. Na kilka godzin przed naszym odjazdem przyszła do nas stara hra-

bina i narzeczona hrabiego. Kilkunastu kozaków towarzyszyło im z dobytemi szablami.

— Gdzie jest dowódzca cyganów, — zapytała hrabina. Mój mąż ukłonił się i wymienił swoje nazwisko i swoją godność.

— Gdzie jest wasza córka Esmeralda?



Hrabia i Esmeralda tańczyli długo, długo...

— Jestem — odrzekła moja córka, — i wiem, po co pani hrabina tu przyszła.

— Aha, wiesz! Więc sumienie odzywa się w tobie, niegodziwa dziewczyno! Rzuciłaś urok na mego syna, może matka dała ci jakie czary w tym celu — uwiodłaś mego syna, pomimo, że wiedziałaś, że jest zaręczony z inną — przyznajesz się do winy?

— Nie przyznaję się do niczego, — odpowiedziała Esmeralda spokojnie. — Prawda, że kocham hrabiego, i wiem, że on kocha mnie także, ale czarów żadnych nie użyłam!

— Chciałaś go wyzyskać, — krzyczała teraz hrabina w największej złości, — chciałaś pieniądze od niego wyłudzić, ale jeszcze ja tu jestem panią i ja sama mam do rozkazywania! Kozacy, związcie tę cygankę i dajcie jej dwadzieścia batów.

Esmeralda zachwiała się i upadła na wpół zemdlona w moje objęcia.

— Nie ważcie mi się dotykać mego dziecka, — jękłam przeraźliwie. — Dam wam skrzynię srebra i złota...

Ale kozacy, posłuszni rozkazom hrabiny, odłożyli broń i zbliżyli się do nas. Wtedy wyprostowała się Esmeralda dumnie i zawołała głośno: pani hrabino, jeżeli mnie każesz bić, to znieważysz własny ród twój! Bo wiedz, że od tygodnia jestem żoną twego syna! Kłamstwo! krzyknęła teraz młoda hrabianka, Borys nie mógł się tak dalece zapomnieć! Bijcie ją! Zabijcie ją natychmiast! Kozacy szarpnęli ręce Esmeraldy i wydobyli powrozy. Ratunku! Pomocy! krzyczałam jak szalona, biegając tu i tam. Męża mego trzymało czterech kozaków. I już, już miała się rozpocząć okropna scena, gdy nagle — ukazał się młody hrabia. Co się tu dzieje? zawołał. Nie mogłam słowa wymówić i ręką tylko wskazałam na związaną Esmeraldę. Borys domyślił się wszystkiego. Kto się poważa tknąć tej dziewczyny, zawołał grzmiącym głosem, tego zastrzelę jak psa! Puszczajcie ją! Śmiertelna cisza zapanowała w około. Hrabia, nie patrząc ani na matkę, ani na narzeczoną, zbliżył się szybko do Esmeraldy, rozciął powrozy i przycisnął ją do serca. Znieważyłaś matko siebie i mnie, rzekł po chwili. Esmeralda jest moją żoną! I ty masz odwagę przyznać się do tego? Tak, i jestem dumny z mego wyboru! Bezczelny, syknęła hrabianka, pożałujesz ty tego! Obecnie bardzo jestem szczęśliwy, zawołał hrabia, a zwracając się do matki, rzekł: Cały majątek należy do mnie, jestem tu panem, niezależnym od nikogo i żądam, aby wszyscy ci, którzy nie chcą uznać Esmeraldy za moją żonę, opuścili zamek jak najspieszniej. Stara hrabina zaczęła teraz głośno płakać. Niewdzięczny synu! Wypędzasz twoją matkę, szeptała, o za to Bóg ukarze ciebie! Ustępuję cygance, ale zanim odejdę powiem ci jeszcze, że cię przekl...

— Nie przeklinaj go pani, krzyknęła w tej chwili Esmeralda. Zostań tu — ja się oddalę! Pani masz starsze i większe prawa do niego! Nie chcę być powodem kłótni pomiędzy matką i synem! O rozwód nie trudno się będzie wystarać — małżeństwo z cyganką można unieważnić. Borys chciał coś przemówić, zatrzymać ją, ale w następnej chwili już jej nie było, i wszelkie szukania jej w lesie były daremne. Za trzecią wsią dopiero spotkaliśmy ją na wpół nieżywą nade drogą. Potem udaliśmy się do Węgier, na stepy i tam przepędziliśmy całe lato i jesień. Esmeralda więdła i nikła w oczach — nic jej nie bawiło, nic jej nie zajmowało, był to kwiatek podcięty, który nigdy już nie miał odzyskać siły i świeżości. — Wkrótce też miała zostać matką, a myśl przerażała mnie niewymownie. Widać, że i ona czuła zbliżającą się śmierć, bo raz rzekła do mnie: matko, wnet będziesz zupełnie samą!

— Cicho, moje dziecko, prosiłam, nie zakrwawiaj mi serca! Wszystko przejdzie szczęśliwie i ty żyć będziesz!

— Nie, ale mniejsza o to. Mam tylko jeszcze jedną, bardzo wielką prośbę do ciebie. Wróćmy do Osterny. Raz jeszcze chciałabym zobaczyć przed śmiercią Borysa. Usiłowałam jej to wyperswadować, ale uparła się — i uległam jej prośbom. Zabrawszy sporą sumę pieniędzy, puściłyśmy się w drogę i po długiej, uciążliwej podróży stanęłyśmy szczęśliwie w Osternie. Esmeraldę zostawiłam w lesie, sama zaś poszłam do Rozdzina i prosiłam go o wyszukanie nam jakiego mieszkania. Wtedy zaprowadził nas Rozdzin do tej chaty. We dnie miałyśmy okiennice zamknięte, w nocy wychodziłyśmy, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Były to właśnie żniwa, ludzie zajęci w polu nie zważali na samotną chatę i nie domyślali się wcale naszej bytności. Za pośrednictwem Rozdzina dowiedział się hrabia o naszem przybyciu i przychodził co noc.

Był on teraz zupełnie inny. Dawniej wesoły, swobodny, stał się ponurym, poważnym i nie był wcale podobnym do dawniejszego Borysa. Stara hrabina zdołała go nakłonić do przeprowadzenia rozwodu z Esmeraldą i do ożenienia się z pierwszą narzeczoną, która, aby zostać jego żoną, wybaczyła mu małżeństwo z cyganką. Ale on w sercu pozostał wiernym Esmeraldzie i szalał teraz z radości na jej widok.

Kilka tygodni później powiła Esmeralda bliźnięta, chłopczyka i dziewczynkę i stan jej zdrowia zupełnie był zadawalniający. Nazajutrz przyszedł Borys. W zamku urodził się chłopiec, rzekł przygnębiony, ale przedwcześnie. Umarł w pierwszej godzinie swego pobytu na ziemi. Żona moja nic jeszcze o tem nie wie. Ach, zawołał nagle, a oczy jego błysnęły radośnie, świetna myśl przychodzi mi do głowy. Ty masz dwoje dzieci, podzielmy się niemi. Zatrzymaj córkę, a mnie daj syna. Oprócz jedynej jednej służącej w zamku nikt nie wie tam, że mój syn umarł — zamienię więc dzieci! Twój syn odziedziczy moje nazwisko, mój majątek — o, najdroższa, nie odmawiaj mi tej prośby! Widzisz, ja jestem sam, daj mi mego syna! — Esmeralda wypełniła jego życzenie, i tak miała córka jej zostać prostą cyganką, a syn — hrabią!

Borys zabrał chłopca i nazajutrz dowiedzieli się wieśniacy, że dziedzicowi urodził się syn, a wiadomość ta ucieszyła wszystkich niezmiernie.

Esmeralda miała się znacznie lepiej i była nadzieja prędkiego jej wyzdrowienia, ale Borys nie przychodził, i to niepokoiło ją tak, że gorączka się pojawiła.

— Idź matko po niego, — błagała nieustannie. I poszłam!

— Na moje żądanie wpuszczono mnie natychmiast do pokoju hrabiego.

— To wy Marto — zawołał, — co się stało?

— Esmeralda umrze, — odrzekłam, — jeżeli nie przyjdziesz do niej.

— Idę już! Dalej, prędko!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

†

Nekrologia.

Sp. ks. biskup Bereśniewicz umarł we Włocławku w zeszłym tygodniu. Urodził się 16-go czerwca 1823 r. w Szwelniach na Żmudzi, z zamożnej rodziny obywatelskiej. W r. 1858 prekonizował go papież Pius IX na biskupa maksymianopolitańskiego in patribus infidelium i sufragana żmudzkiego. Konsekracya odbyła się 27-go lutego 1859 r. w Petersburgu.

Równocześnie prawie zamianowany został nowokreowany biskup rektorem akademii duchownej w Petersburgu, przyczem wykładał tam teologię pastoralną.

Po śmierci biskupa Wolonczewskiego w r. 1875, wybrany został na wikaryusza kapitulnego do rządzenia osieroconą dyecezyą żmudzką, a w ośm lat potem, roku 1883, mianowiano go biskupem dyecezyi kujawsko-kaliskiej we Włocławku.

Dla dyecezyi tak żmudzkiej jak i swojej, był ks. Bereśniewicz prawdziwym ojcem i opiekunem, to też czczono go i kochano powszechnie. Z bogatego plonu zasług, położonych przezeń na tem stanowisku, wymieniamy ważniejsze: wyjednał u władz pozwolenie odbywania procesyi, stawiania krzyżów przy drogach i restaurowania kościołów.

Pod tym ostatnim względem był zawsze wprost niezmordowany, a świadczy o tem fakt, że w czasie swoich rządów biskupich poświęcił około stu nowych kościołów, cmentarzy i dzwonów, a założył blisko dziesięć kamieni węgielnych pod nowe kościoły.

Był to prawdziwy kapłan — pasterz, prawdziwy ojciec i opiekun dusz sobie powierzonych. Znał tylko prawdę i sprawiedliwość i tą drogą szedł zawsze, usque ad finem, wierząc, że nigdy go ona nie zawiedzie i nie omylił się, czego dowodem, że przeprowadzał przecież tak ważne i trudne sprawy, jak np. rozwój seminaryum i ułatwienie klerykom utrudnionego doń wejścia.

We wrześniu 1897 r. obchodził ś. p. Zmarły 50-letni jubileusz kapłaństwa. Wziął w nim udział cały ogół polski, uznając pracę i zasługi położone przez jubilata na ołtarzu sprawy narodowej. R. i. p.

Wkrótce rozpoczniemy druk niezmiernie interesującej powieści, osnutej na tle współczesnych stosunków pod tyt.:

„Żywcem pogrzebany,“

która świetną osnową swą i ciekawą treścią zająć musi każdego, nawet najobojętniejszego czytelnika.

Malowniczy opis Wielkopolski

przerwany od dłuższego czasu z powodu licznych procesów, uwięzienia redaktorów, wreszcie uwięzienia wydawcy, rozpoczniemy zamieszczać w dalszym ciągu.

Już w jednym z najbliższych numerów zamieścimy opis

powiatu grodziskiego

z specyalną mapą tegoż powiatu.

Opis wszystkich miast, wsi, wiosek, osad, folwarków powiatu grodziskiego zaopatrzony będzie w liczne illustracye.

Następnie zamieścimy opis powiatu krotoszyńskiego, potem koźmińskiego itd. z specyalnemi mapami tychże powiatów i z licznemi illustracyami.

Jakkolwiek kilku obznajmionych ze sprawą pracowników już od kilku tygodni zajmuje się skwapliwie opracowaniem map i opisami, to jednak zwracamy się do Szanownych Czytelników z uprzejmą prośbą:

aby każdy zechciał nam nadsyłać opisy znajdujących się w miejscu jego zamieszkania pamiątek przeszłości, ruin, historycznych kopców, kościołów, pochodzących z czasów polskich itd.

Na razie chodzi nam o opisy: powiatów grodziskiego, krotoszyńskiego i koźmińskiego.

Wiadomości.

Wiec

zapowiedziany na niedzielę dnia 8 bm. nie odbył się w oznaczonym czasie.

Wiec odbędzie się za 2 tygodnie, ponieważ komitet postanowił

przez powołanie do współudziału wszystkich warstw społeczeństwa nadać mu charakter wieca ogólnego.

— **Pan Zygmunt Słupski**, właściciel, wydawca i redaktor pisma humorystycznego „Komar“ (dawniej „Bocian“) wychodzącego w Poznaniu, stawał dnia 7-go b. m. przed kratkami tutejszej izby karnej, oskarżony o obrazę majestatu i podburzanie do gwałtów. Przestępstwa tych dopatrzyła się prokuratorya w umieszczonej w numerze 12-tym „Komara“, rycinach przejętych z francuskiego pisma „L'Illustration.“ Prokurator wniósł o 9 miesięcy więzienia, a sąd skazał p. Słupskiego na 6 miesięcy więzienia i uchwalił natychmiastowe aresztowanie. Obrońca p. mecenas Seyda wniósł o chwilowe wypuszczenie p. S. na wolność za kaucyą, lecz sąd się na to nie zgodził, ponieważ skazany mógłby ujść za granicę.

Jak się dowiadujemy, przyjaciele p. S. postarają się o to, aby „Komar“ wychodził i nadal regularnie bez przerwy, jak dotąd.

Pan Słupski, Wielkopolanin, długie lata przebył za oceanem. Nie jest on nowicyuszem na polu literackiem. Już z pod jego pióra wyszło kilka utworów dramatycznych, jak „Córunia,“ „Niebezpieczne żarty“, „Sprytny podlotek“ oraz „Dwór i gromada“ (ten ostatni grywany i na naszej scenie). Jego odczyty z dziedziny pedagogii i ekonomii zyskały ogólne uznanie krytyki. Napisał nadto „Szkice historyczne“ i „Życie Kopernika“, a niedawno warszawski miesięcznik „Ateneum“ drukował powieść p. t. „W raju.“ Przed kilku laty w Poznaniu wyszły „Pamiętniki powstańca“, a w Ameryce „Wspomnienia tułacza“ i powieść „Czwarty lipca.“ Przed wyjazdem z kraju był redaktorem „Gaz. Radomskiej,“ jak również i za oceanem przez jakiś czas redagował parę pism: następnie jednak pracował dla gazet angielskich i przełożył na język angielski kilka utworów Sienkiewicza, jak „Pójdźmy za nim“ i „Bądź błogosławiona.“ W 1878-ym roku powrócił do kraju z zamiarem pracowania już wyłącznie dla swoich. W tym to roku „Praca“ rozpoczęła drukować powieść jego, osnutą na tle życia Polaków w Ameryce p. t. „Politykier.“ Powieść tę odznaczono pierwszą nagrodą i złotym medalem na konkursie literackim im. M. Kopernika.

— **Na chleb św. Antoniego** nadesłał p. Antoni Białobłocki z Lüssum 3 mrk.

Pokwitowane w nrze 20-ym na powyższy cel 4 mrk. nadesłał p. Adam **Precz** z żoną i córeczkami z Lüssum a nie Piecz.

— **Na Czytelnie ludowe** wpłynęło na weselu u p. Gidaszewskich w Radzewie 11,50 mrk.

Dr. Kapuściński, skarbnik.

— **Teatr Poznański w Pniewach** na sali p. A. Skórnickiego:

Sobota 14 czerwca „Azya Tuhajbejowicz.“

Niedziela 15 czerwca ostatnie przedstawienie „Przeor Paulinów czyli obrona Częstochowy.“

Bilety wcześniej do nabycia w hotelu p. Skórnickiego.

W **Sremie** na sali hotelu Victoria:

W poniedziałek 16 czerwca „Ulicznik paryzki.“

We wtorek 17 czerwca „Dzierżawca z Olesiowa.“

W Srodę 18 czerwca „Odrodzenie“ (Renaisance.)

W czwartek 19 czerwca ostatnie przedstawienie: „Azya Tuhajbejowicz.“

Bilety wcześniej do nabycia w księgarni p. K. Gąsiorowskiego.

Teatr nasz udaje się następnie do Srody, Miłosławia itd.

— **Z dniem** 1-go czerwca weszły w życie nowe przepisy co do biletów kolejowych pojedyńczych, zwrotnych i kart peronowych. Bilety wykupione lub już odstęplowane mają ważność bez dalszych formalności jeszcze dnia następnego. Bilety peronowe użyte i przedziurawione mogą być użyte następnego dnia jedynie za poświadczeniem urzędnika stacyjnego. Co do biletów zwrotnych, to z dniem 1-go bm. ustała ich ważność rozpoczęcia jazdy wedle woli każdego dnia. Bilety peronowe ważne są jedynie na dzień kalendarzowy; wykupione i przedziurawione pomiędzy 11 i 12-tą godziną w nocy ważne są jeszcze dnia następnego i przedziurawiają się w danym razie dwukrotnie.

— **Śledztwo** o należenie do tajnych związków wytoczono w Gnieźnie nie tylko gimnazyastom, lecz także handlarzowi papieru i cygar p. Langiewiczowi oraz elewowi z księgarni J. B. Langiego w Gnieźnie.

— **Ślub.** W Pradze czeskiej odbył się 3-go czerwca ślub redaktora „Słowiańskiego Przehledu, wielce sympatycznego dla nas p. Adolfa Czernego z p. Reinerówną.

— **Odznaczenie fabryki H. Cegielskiego.** Na konkursie pługów dwuskibowych, odbytym świeżo w Poniewieżu na Litwie, otrzymał pług stalowy „Rekord R. P. 4“, wykonany w fabryce H. Cegielskiego, najwyższą nagrodę, medal srebrny.

— **Zwracamy** Szanownej Publiczności baczną uwagę na inserat p. A. Zwierzchowskiego w Sremie, właściciela pierwszej polskiej fabryki sieci drutowej na płoty. Popierajmy swojski przemysł!

— **Zdolny** młody budowniczy zamierza się osiedlić. Prosimy o wskazanie redakcyi „Pracy“ miejscowości, w którejby z powodzeniem mógł działać.

† **Trzemeszno.** W czwartek odbył się pogrzeb śp. Antoniego Meissnera z Rudek, który rozstał się z tym światem dnia 1-go czerwca. Zmarły urodził się w Trzemesznie r. 1822; ojciec jego był dyrektorem gimnazyum tamże. Za małżonkę pojął pannę Józefę Molinek, córkę ówczesnego właściciela ziemskiego ze Skoków i odebrał w działach po ojcu swym majątek Rudki, który z czasem w dwójnasób powiększył i w którym z dozgonną towarzyszką swą wychował dzieci swoje. S. p. Antoni obrany przewodniczącym dozoru kościelnego w Trzemesznie, stał podczas całej walki kulturnej i aż do ostatniej chwili jako wierny syn Kościoła św. na straży wszelkich praw. Kondukt prowadził syn zasłużonego cichego pracownika, ks. Meissner z Ottorowa, mowę żałobną wygłosił w kościele znany z swej wymowy ks. prob. Marchwicki, podając zmarłego jako wzór godny naśladowania. K. i. p.

— **Nowemu** Browarowi w Grodzisku brakuje około 23 000 mk. kapitału, bo wielu panów, którzy sobie udziały zamówili, dotychczas ich nie wpłacili.

Pierwszy wywar gotowy i prosimy już dziś zamawiać piwo grodziskie u członka naszego p. Konstantego Styczyńskiego w Grodzisku. — Zadziwiającem jest, że dotychczas bardzo mało pomiędzy udziałowcami jest obywateli ziemskich, którzy przecież największy interes w browarze okazać powinni, bo właśnie ich produkty, jako to: pszenica i chmiel, mają być na piwo przerabiane. Towar ten płacimy przecież gotówką i stosunkowo bardzo drogo, bo nie każda pszenica do piwa grodziskiego, tak samo jak nie każdy jęczmień do piwa bawarskiego się kwalifikuje. Że na razie nie potrzebujemy 50 wagonów pszenicy, toć jest jasnem, lecz skoro tylko powiększymy browar nasz, to nie tylko 50, ale nawet i 100 wagonów pszenicy przerobimy. Mimo opłakanych stosunków w rolnictwie nie podobna nam wierzyć, aby obywatel ziemski nie mógł się zdobydź choć tylko na jeden udział 50 mrk. wynoszący, aby mieć prawo odstawiania swej pszenicy do browaru.

Jeden członek może mieć podług ustaw najwięcej 100 udziałów. Upraszamy przeto o spieszne zakupywanie udziałów w Banku Parcelacyjnym w Poznaniu, gdzie nasze kapitały składamy. Adres: Bank Parcelacyjny, Posen, Victoriastr. 12, a na kuponie dopisek: „na udziały Nowego Browaru w Grodzisku.“

Za mniej więcej dwa tygodnie będzie piwo do picia odstane i wtedy zaprosimy wszystkich tych panów, którzy swe udziały wpłacili, na urzędowe posiedzenie do Grodziska, gdzie się też pierwszem piwem własnego wyrobu wspólnie uraczymy.

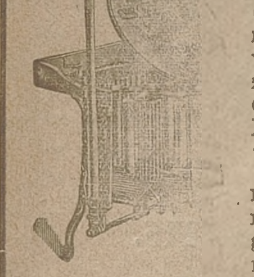
Od nabycia browaru ledwie 10 tygodni upłynęło, a już dziś piwo nasze świeże w beczkach, — szybko więc pracowaliśmy, bo trzeba było w browarze, który stał przez czas konkursu bezczynnie, wiele reperacyi i ulepszeń wpierw porobić. —

Maksymilian Koszmider, właściciel folwarku, Wielkawieś p. Buk. Dyr. Ignacy Sikorski z Poznania. Adam Dybisławski z Grodziska. Konstanty Styczyński z Grodziska. Franciszek Paniński, dawniej w Buku, teraz w Poznaniu. Józef Krzyżankiewicz, kapitalista z Wronek. Stanisław Wegner, literat z Poznania. Antoni Perliński, lekarz-dentysta z Poznania. Maciej Nowak, mistrz piekarski z Grodziska. Dr. Bolesław Broekere z Poznania.

To prawda.

Profesor: Jaka to szkoda, mój panie, że pan, człowiek tak ogromnie praktyczny, nauczyłeś się tak mało!

Przemysłowiec: To prawda, panie profesorze: ale jaka to szkoda, że pan, człowiek tak ogromnie uczony, tak mało jesteś praktyczny!



Maszyny
do prania bardzo praktyczne całe dębowe, niezbędne w każdem gospodarstwie z powodu znacznej oszczędności czasu i bielizny po Marek 55,00 za szt.

Wyżdżymalnie
maglownie, ramy do suszenia firan. Nowość! żelazka gazowe do okowity denaturowanej, po m. 8 za sztukę.

Łóżka
dla dorosłych i dzieci, żelazne, wyścielane angielskie całe mosiężne poleca 307

T. OTMIANOWSKI.

właściciele:
B. Ziętkiewicz — S. Mincikiewicz.
Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.
Cenniki darmo i franko.

J. Silski,

mistrz stolarski,
Poznań, ulica Wrocławska nr. 31
poleca swój

magazyn mebli

założ. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu*, znanej dobroci.
Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader niskich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

— Panie Magdalkopf, czem jest syn pański?
— Pan potrzebujesz wiedzieć, co mojego syna stać na to, żeby on był niczem.

Dobre mydło

kupuje się w fabryce 42

St. Życblińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa! konserwuje płeć
hygieniczne mydełko lanolinowe.
Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.

Kapelusze

damskie i męzkie

Obuwie
Bieliznę
Krawaty
Pończochy
Rękawiczki
Parasolki
Parasole
Materye
na suknie, pościele, meble
Dywany
Dery
Kołdry
Firany
Szkło
Porcelana
Towary galanteryjne
Wózki dla dzieci
Kosze do podróży
i
1000
innych przedmiotów
poleca
najtaniej

Szanownej Publiczności miasta **Gniezna** i okolicy pozwalamy sobie uniżenie donieść, że przejęłyśmy 368

magazyn stroji i towarów krótkich

pod firmą

H. & W. Mąke

i takowy nadal pod tą samą firmą prowadzić będziemy.
Prosząc o łaskawe poparcie, starać się będziemy Szanowną Klientelę pod każdym względem zadowolić.
Mając dostateczną i długoletnią praktykę poza sobą, jesteśmy w stanie wszelkim wymaganiom zadość uczynić, poczyniwszy osobiście w Berlinie zakupno **świeżych modeli, oraz wszelkich nowości sezonowych.**

Z wysokim szacunkiem
Jadw. Kmiecikowska. Felicya Orańska.
Gniezno, ul. Tumska nr. 5.

Spostrzegawczy pan.

— Józef!... Nie czyściłeś dziś, próżniaku, mojego ubrania!...
— Ale, jakto, proszę pana... czyściłem... mogę przysiądz na to...
— Kłamiesz, ośle jakiś! Wczoraj włożyłem do kieszeni w kamizelce talara i dotąd jeszcze jest w tem samem miejscu..

Ważne szczególnie dla zarządów i członków towarzystw jak i dla każdego Polaka.

Tylko co opuściło prasę:

Prawo o zebraniach i stowarzyszeniach w państwie niemieckiem

wraz z dodatkiem zawierającym przepisy o rozszerzaniu pism, druków i t. d., wzory zażaleń i zestawienie miarodajnych wyroków najwyższych trybunałów,
Tekst prawa po polsku i po niemiecku.
Napisał Janko Krzyżowski. 413
Cena w oprawie 60 fen., z przesyłką 65 fen.
Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w księgarni Antoniego Stoca *w Katowicach na Górnym Śląsku.*

Pierwsza polska

fabryka sieci drutowej na płoty

poleca Szanownym Rodakom swe wyroby w wszelkich wymiarach po cenach czasowych. O łaskawe poparcie swojskiego przemysłu uprasza 444

A. Zwierzchowski,
Śrem (Schrimm).

„Justitia"

Bióro informacyjne i komisowe
pośredniczy w wszelkich sprawach.
Wiedeńska nr. 8, I p.
J. N. Szulc.

K. Ignatowicz

Wrocławska ulica 4

Największy Dom Towarowy

w Poznaniu. 348

Nuty

do 110 pieśni polskich do śpiewu i na fortepian, 300 przeszło pieśni do muzyki
razem 2 zeszyty o 318 stron. zebrał **Fr. Barański.**
Piękny ten śpiewnik z ładną kolorową okładką kosztuje tylko mrk. 3,75, w oprawie kartonowej mrk. 4,25. 386
Nabyć można w każdej polskiej księgarni lub też w „Księgarni Polskiej" W. Tempłowicza w Poznaniu.

Powód do pychy.

— Czemu ten X. tak zadziera w górę nosa?

— O, to dygnitarz; od ćwierć wieku jest stałym bywalcem lombardu miejskiego.

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon.

Rozety i drążki do firan.

Artykuły męzkie.

Kapelusze — Krawaty



Kamizelki — białe i kolorowe

Rękawiczki — Bieliznę

poleca

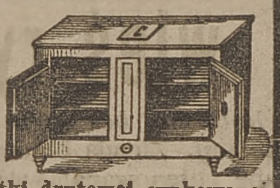
W. HAHN

(właśc. Wład. Hahn) 804

Poznań, Stary Rynek nr. 55.

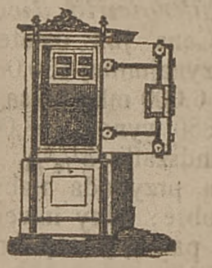
Konwie

do transportowania mleka oraz wszelkie sprzęty mlecznicze.



═ Płoty ═

drutowe z kolcami za 250 metr. 10 mk., z siatki drutowej cynkowanej z otworami 2" za 50 metr. (100 cm. wysoki) 18 mk.



Szafy

żelazne z stalowym pancerzem, specyalne dla kas kościelnych, kasety, szafki i skarbony do wmurowania poleca

T. Otmianowski.

właściciele:

B. Ziętkiewicz — S. Mińcikiewicz

Poznań — Bazar.

Telefon 565.

Cenniki darmo i franko!

Potęga przykładu.

— Cesiu, jak możesz braciszkowi pokazywać języki?

— To nie ze złości, mamusiu, bawimy się tylko w „pokazy“ ogrodnicze.

Baczność!

Drogerya J. Neyman

Poznań, św. Marcin nr. 46.

dawniej

Drogerya pod czerwonym krzyżem

poleca po najtańszych cenach:

Farby olejne i lakierowe na posadzki, wiory stalowe, pędle, froter i t. p. Swiece stearynowe i woskowe. Mydła i proszki do prania. Perfumy, pudry i mydełka toaletowe, tutejsze i zagraniczne wyroby. *Herbatę, wyskoki mięsne, czekoladę i kakao* oraz towary w zakres drogeryjny wchodzące.

Paczki pocztowe wynoszące 10 m. wysyłam franko

Za gotówkę 6 proc. rabatu w towarze

---

10 książek

różnej treści zamiast 32,30 m. za tylko **3,50 m.** Serya II.

1—2) „Obraz wieku panowania Zygmunta III-go króla polskiego i szwedzkiego“ przez X. Fr. Siarczyńskiego, 2 tomy, Poznań cena 12 mk.

3) „Polska w złotym wieku“ przez Moraczewskiego, cena 4 mk. 50 fen.

4) „Piśmiennictwo polskie w zarysie“ przez Dembowskiego, Poznań, cena 6 mrk.

5) „Głos wolny wolność ubezpieczający“ przez St. Leszczyńskiego, cena 2 m.

6) „Oświata w Polsce i u Niemców za czasów Kopernika i dzisiejszych czasach“ przez Buszczyńskiego, cena 1 mk. 50 fen.

7—8) Poezye X. St. Grochowskiego 2 części Kraków, cena 8 mk. 50 fen.

9) „Zdanie syna koronnego o pięciu rzeczach Rzeczypospolitej polskiej należących“ przez X. P. Grabowskiego, Kraków, cena 80 fen.

10) „Niekomiczna komedya“ przez Narzymskiego, Poznań, cena 2 mk.

Na przesyłkę do 10 mil 25 f. — na dalsze odległości 50 f. — przez zaliczkę 20 fen. więcej poleca księgarnia:

N. Kamieńskiego i S-ki

w Poznaniu

ulica św. Marcina Nr. 16/17.

Polskie tańce

na fortepian 2 ręce

zawierają najpiękniejsze mazury, polki, polonezy, galopy, krakowiaki i kujawiaki: Moniuszki, Lewandowskiego, Ogińskiego, Łady, Kątskiego, Osmańskiego, Lipińskiego, Winnickiego i t. d. 2 tomy. Cena tylko **3,20 m.** z franco przesełką, przez zaliczkę **3 mk. 40 f.**

Polskie tańce

na skrzypce

zawierają te same tańce co powyżej na fortepian, 2 tomy, cena tylko **2,20 mk.** z fr. przesyłką — za zaliczkę **2 m. 40 fen.** poleca księgarnia:

N. Kamieńskiego i S-ki

NA FORTEPIAN!

Wieniec ulubionych melodyi narodowych

w łatwym stylu ułożonych na fortepian na 2 ręce, przez K. Petersa, dwa zeszyty, zawierające: krakowiaki, polonezy, kołomyjki, marsze (Chłopickiego, Kościuszki, Poniatowskiego, Dwernickiego, Chopina) pieśni patryotyczne, wyjątki z polskich oper (Halka, Paziowie królowej Marysienki i Verbum nobile) dumki, obertasy i t. d. Cena za 2 zeszyty tylko **3,20 mk.** z fr. przesełką — przez zaliczkę **3,45 mk.**

Zamiast 5 marek

tylko 1 mrk. 20 fen.

GRAMATYKA FRANCUSKA

dla Polaków

przez *Ollendorfa.*

Według wybornej tej gramatyki nauczyć się można w krótkim czasie mówić i pisać po francuzku. Gramatyka ta zawiera 2 tomy. Za nadesłaniem **1,40 m.** przesełka franko — przez zaliczkę **1 m. 60 fen.** poleca księgarnia

N. Kamieńskiego i S-ki

w Poznaniu,

ulica św. Marcina Nr. 16/17.

☛ Darmo ☚

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).

Destylacya i fabryka likierów

poleca po niskich cenach

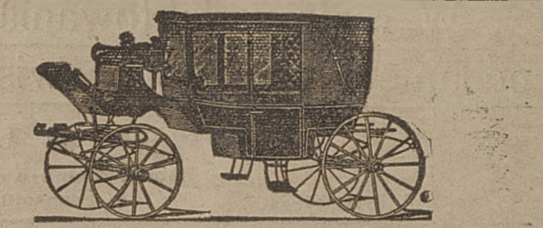
Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite 57

nalewki, wódki gdańskie,

żołądkowe, alpejską,

araki, rumy i franc. koniaki.



Kazimierz Bączkiewicz

═ pojazdnik ═

w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 188

☛ *Gotowe pojazdy zawsze na składzie.* ☚

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu 463 **z zakładem wodoleczniczym.**

Kuracye dyetetyczne.

Kuracye na schudnięcie i na utycie.

☛ **Kąpiele elektryczne świetlane** ☚ (nowo urządzone). — Kąpiele wszelkiego rodzaju. Masaż, gimnastyka szwedzka, leczenie elektrycznością.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Najlepsze

ameryk. maszyny do sieczenia

łąk i zboża są: 434

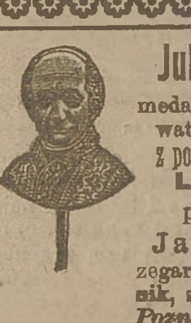
Walter a Wood

i Ault. Mill. Bruckeye.

Poleca takowe po tanich cenach za dogodną wypłatą

W. Walkowiak, Janówiec (Janowitz)

handel żelaza i machin rolniczych.



Jubileuszowe

medale, śpilki w krawaty, broszki itd. z popiersiem Ojca Św. **Leona XIII.**

poleca tanio

Jan Białas,

zegarmistrz, rytownik, złotnik i optyk.

Poznań, ul. Wrocławska nr. 2.



Na życzenie wysyłam cenniki bezpłatnie. 464

W pewnym bufecie kolejowym.

— Panie gospodarzu, kelner bułki z kawiorem obliżuje... Jak można na coś podobnego pozwolić!

— Albo on je obliżuje z łakomstwa, trzy dni jak stoją, więc je tylko odświeża.

— Cóż to za krzyk na podwórzu, poślijcie do krzykliwego lokatora, aby się uspokoił.

— Ba, kiedy to nie lokator, lecz gospodarz krzyczy, bo go ząb wściekle boli. Gospodarzowi wszystko wolno.

Duisburg. Cześć Ojcu św. Leonowi XIII! W uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła odbędzie się w Duisburgu **wielki obchód jubileuszu papiestwa Ojca św. Leona XIII.,** na który wszystkie towarzystwa sąsiednie polsko-katolickie, jako też wszystkich Rodaków i Rodaczki z Duisburga i okolicy serdecznie zapraszamy.

Porządek obchodu. O godz. 1/4 4 nabożeństwo polskie z kazaniem w kościele św. Józefa. Zaraz po nabożeństwie dalsza uroczystość na sali Arbeiterheim, przy Seilenstr. 19, gdzie będzie program bardzo urozmaicony. Szczególniej zaś zwracamy uwagę szanownym Rodakom i Rodaczkom na mówcę, który osobiście Rzym zwiedził i Ojca św. oglądał, jako też na przedstawienie rozmaitych kościołów i innych pamiątek w Rzymie. — Kochani Bracia i Siostry! jeżeli w sercach waszych nie wygasła jeszcze miłość do wiary naszej św., to podążcie w niedzielę, d. 29 czerwca na srebrny jubileusz rządów kościołem katolickim Ojca św. Leona XIII do Duisburgu. UWAGA: Szanowne Towarzystwa prosimy przybyć z sztandarami bez pałaszy. — Wstępne dla wszystkich równe po 30 fen., za co każdy odbierze piękny program, stósowny do oprawy na pamiątkę. Czysty dochód przeznacza się na świętojózefacie. Jeszcze raz o jak najliczniejszy udział uprasza 460

Komitet.

Józef Regulski, przewodniczący Komitetu.

Rozmaite.

Teatr poznański

w Miłosławiu

na sali p. Jeziorkowskiego.

W poniedziałek 23 b. m.: „Dzierżawca z Olesiowa“, w wtorek 24. „Odrodzenie“, w środę 25. „Azya Tuhajbejowicz“.

Bilety wcześniej do nabycia u p. Jeziorkowskiego.

W Pleszewie

na sali hotelu Victorya.

W czwartek 26. „Ulicznik paryski“, w piątek 27. „Odrodzenie“, w sobotę 28. „Dzierżawca z Olesiowa“, w niedzielę 29. „Azya Tuhajbejowicz“, w poniedziałek 30. ostatnie przedstawienie „Państwo Wackowie“.

Bilety wcześniej w handlu p. L. Zboralskiego.

Koła do wozów

dostarcza z suchego drzewa dobrze odrobione i po tanich cenach. 244

Głogowska parowa fabryka stelmachska

Bredner i Okoniewski.

Głogowa, Glogau i. Schl.

Meinel & Herold

Harmonikafabrik

Klingenthal (Sachsen) Nr.



versend. pr. Nachn anerkannt solid. Concert-Zug-Harmonikas ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur verbess. Stahlfederung, 3 Thl., (11 fit.) Doppelbalg m. best Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässe 10 Tast., 2 chör. 2 Reg., 50 Stim. M. 5.— 10 „ 3 „ 3 „ 70 „ „ 7.50 10 „ 4 „ 4 „ 90 „ „ 9.50 21 „ 2mal 2 chör., 108 „ „ 11.— Schule, Kiste ums. Port. extr. And. Harm. 85 versch. Nr.) bill. Illustr. Catalog frei Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt. zu verwechseln. Garantie: Zurücknahme u. Geld retour. Ueber 3000 Dankschreiben.

Zdolny młody 166

kupiec bławatnik

zamierza się *o siedlić* w mieście gdzie nie ma Polaka w tej branży.

Prosimy o wskazanie eksp. „Pracy“ lit. *A. S. N. 15* miejscowości, w której by z powodzeniem mógł prowadzić.

Rodak, 32 lat liczący z zawodu handlowiec, samotny, posiadający chlubne świadectwa, pracujący także zagran. w Królestwie, nie mogąc dla braku kapit. sam inter. sobie założyć, a chcący chętnie pracować, gdyż ma na utrzym. ojca swego starego, *poszukuje odpow. zajęcia*, najchętniej jako magazynier lub objażdżacz jaką filią, także objąłby interes kolonialny wraz z wyszynkiem w celu ożenienia się. 465

W razie gdyby kaucya potrzebną była, jest w stanie gwarancyą dać, gdyż posiada nieruchomości rożne. Zgł. przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. *J. J. nr. 465.*

Dzierżawy.

Skład dla rzeźnika

przy głównej ulicy św. Ducha nr. 16 w 454

Inowrocławiu

jest zaraz do wydzierżawienia lub od 1 Lipca.

Zgłoszenia przyjmuje *K. Lipczyński, Inowrocław*, narożnik ulicy Jakuba.

Cukiernia i restauracya

jest do *wydzierżawienia* od 1-go Października b. r. w mieście liczącym 6,000 mieszkańców. 468

Zgł. do eksp. „Pracy“ p. l. *A. D. 19.*

Ogrodowa 11.

Mieszkanie: 6 pokoi, erker, łazienki, kuchnia, obszerne przynależytości, zaraz lub od 1. 10. do wynajęcia. Tamże stajnia. Szczegóły: Ogrodowa 13, wejście IV, II piętro na lewo. (g)

Sprzedaże.

Dla kupców!

Dobrze zaprow. mały dom towarowy w większem mieście garniz. i gimnaz. jest od każdego czasu do przejęcia. Warunki kupna ułatwione. Towar bławatny miałby w tymże wielkie powodzenie.

Reflekt. z podaniem wpłaty zechcą się zgłosić do

K. Wyszyński

Krotoszyn. 432

Wózek dziecięcy

w bardzo dobrym stanie, mocny, mało używany jest *tanio do sprzedania* na Piekarach Nr. 23 w podwórzu I piętro. (g)

Korzystne kupno!

Oberża

z dobrem powodzeniem w mieście powiatowem jest od zaraz lub później do *sprzedania.* 463

Zgłoszenia do admin. „Pracy“ pod *Nr. 90.*

Moje gospodarstwo

z obszernem podwórzem, przytem masiw stajnia i stodoła, z kuźnią i domem mieszkalnym, oraz około 17 mórg gruntu zamierzam z wolnej ręki *sprzedać.* (g)

August Anders,

Rydzyna (Reisen).

Młocarnia parowa

z fabryki Clayton & Shuttelworth, doskonale utrzymana, o sile 7—8 koni, jest *na sprzedaż* z powodu nabycia młocarni większej. (g)

Dom. Wronczyn

p. Pobiedziska (Pudewitz).

Stolarnia

z domem lub też sam *dom* zaraz do *sprzedania.* (g)

A. Brückner w Kórniku.

Dobre koncertowe (g)

PIANINO

z krzyżowemi strunami tanio do nabycia przy ulicy *Wrocławskiej nr. 11. Brill.*

Tak samo dobre *skrzydło.*

Wolne posady.

Od *1-go lipca* potrzebna 455

Nauczycielka

Zgłoszenia przyjmuje

Łęgowski

Feliksowo p. Lipnica

Kr. Briesen W/Pr.

Od 1-go lipca r. b. przyjmę do mego składu żelaza, artykułów budowlanych itd. rzetelnego, dobrze poleconego

pomocnika

biegłego ekspedyenta.

W. Kozłowicz

w Inowrocławiu. 467

Służący-strzelec

kaw., wys. wzrostu, lat 21—24 potrzebny od 1. 7. Odpisy świadectw i fotografia konieczne. 448

Oferty do Ekspedycyi „Pracy“ pod **nr. 448.**

Poszukuję od 1-go lipca r. b. 436

UCZNIA

do składu mego, żelaza, owarów kolonialnych drogeryjnych.

A. Rajewski

Poniec (Punitz).

Panna do bufetu,

która dłuższy czas już w cukierni pracowała, znajdzie od 1-go lipca miejsce w mej cukierni. Do zgłoszeń uprasza się dołączyć fotografią i znaczek pocztowy. (g)

J. Ludwig.

cukiernia w Gnieźnie.

Rollerów

przyjmuje każdej chwili

J. Smodlibowski 438

Fabryka cygar

w MIŁOSŁAWIU.

Człowiek samotny

mający mieć nadzór nad inwentarzem i dojem potrzebny od 1-go lipca lub później, może być były owczarz. Zgłoszenia do Dom. Łabiszyna (Labischin). (g)

Biegłego **młodszego**

sprzedawacza

poszukuje od 1-go lipca (g)

Max Rosenthal,

dawn. H. Rosenthal Wwa.

Kcynia (Exin), destylacya i skład tow. kolonial.

Do mej destylacyi i wyszynku poszukuję od 1 lipca r. b. dzielnego i biegłego

ekspedyenta

oraz (g)

ucznia

J. Baruch, Środa destylacya.

zdolnego

pomocnika introligatorsk.

na stałe zatrudnienie poszukuje (g)

K. Kmiecikowski,

Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów, Poznań, ul. Wodna 2 I piętro

Ucznia

do handlu towarów łokciowych i krótkich poszukuję zaraz. (g)

H. Szczodrowski, Buk.

Poszukuje

gospodyni

do doju, drobiu, prasowania od 1-go października. (g)

Zgłoszenia zaraz.

Horwatowa.

Gorzyczki Czempin Borowo.

Uczeń

syn z porządnej familii, z dobrem wykształceniem szkólnem, może się zgłosić zaraz.

W. Wojciechowski.

Drogerya pod Gwiazdą,

Wodna ul. 25. (g)

Wojażer

do branży cygar i papierosów w W. Ks. Pozn., Prusach i na Szlązku dobrze zaprowadzony, może się zgłosić zaraz do renomowanej fabryki papierosów, na wysoką prewizyą. Zgłosz. pod lit. **2422** poste restante Poznań.

Miejsce

pisarza gosp.

młodego trzeźwego, energicznego wakuje od 1-go lipca.

Olszowa I.

p. Kempen (Posen) (g)

Starszy pomocnik

obeznany z książkowością, zbożem i nasionami, znajdzie trwałą posadę od 1. 10. Oferty sub. **M. M. 120** postlagernd Thorn. (g)

Biegły przykrawacz

może się zgłosić zaraz. (g)

W. Dreżewski,

fabryka cholewek. Zagórze 1.

Pomocnika

dobrze poleconego potrzebuję do destylacyi od 1 lipca rb., do zgłoszeń proszę załączyć kopie świadectw.

B. Pinkowski

w Strzelnie. (g)

Domokrężni

zarobią przeszło 100% na łatwo odchodzącym artykule Zgłosz. przyjmuje **G. L. Daube Co. w Lipsku pod lit. L- 4410** (g)

Poszukuję umieszczenia.

Nauczycielka egz.

biegła w językach, muzykalna, poszukuje miejsca w małem mieście, gdzieby ewentualnie dzieci dwóch rodzin w lit. i języku ojczystym kształciła.

Zgł A. 500 Eksp. „Pracy“ 457

Polka

skromna i pracowita, znająca piękne prasowanie, średnią kuchnią i gospodarstwo wiejskie, poszukuje miejsca od 1-go lipca, przyjęłaby też miejsce jako praczka we dworze. Łaskawe oferty pod lit. *J. W. 26.* Postlagernd Posen Hauptpost. (g)

Kucharka wiejska

biegła w swym zawodzie znająca się na wykwintne kuchni pańsk., która służyła w wyższych domach, poszukuje miejsca od 1 lipca Zgłosz. pod lit. *N. N. 10* a poste restante *Buk.* (g

Młynarz

kawaler, 28 lat, poszukuje miejsca lub dzierżawy wiatraka albo młyna. Zgłoszenia przyjmuje

Grzegorczyk.

Poznań, Wielkie Garbary 38.

Ogrodnik poszukuje zajęcia od każdego czasu w ogrodzie do pilnowania ludzi jako włódarz biegły w gospodarstwie. *S. C. 90* postlagernd *Pudewitz.* (g)

Biegły kasyer

doskonały rachmistrz, obeznany z wszelkiemi pracami biurowemi, posiadający chlubne świadectwa, *poszukuje* zaraz lub później posady.

Łaskawe oferty przyjmuje *A. Skórczewski,* (g) *Chełmża* (Culmsee)

Syn

uczciwych rodziców z odpowiednem wykształceniem szkólnem, mający chęć uczyć się w składzie bławatnym, poszukuje miejsca zaraz.

Zgłoszenia i bliższych informacyi udzieli 449

St. Grześkowiak

w Dolsku (Dolzig.)

Kr. Schrimm.

Prosimy odciąć!

Już można odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den..............................

Kaiserl. Post..............................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

..............................,den ....

Kaiserl. Post..............................